

TRYBUNA

KRAKÓW, 15 MARCA 1907. NR. 10.

TRYBUNA

WYCHODZI 1 i 15 KAŻDEGO MIESIĄCA

TREŚĆ:

Władysław Orkan: Z pieśni o buncie.

K. Frech: Jeszcze o lokaucie w Łodzi.

Wacław Sieroszewski: Wycieczka w dziedzinę
przyczynowości.

M. Szarota: Parlament niemiecki.

Marya Markowska: Ecce Homo.

Savitri: Kwestya narodowościowa w poglądach
partyj rosyjskich.

Via: Wieści z Zaboru Pruskiego.

Przegląd prasy socjalistycznej.

Fejleton zbiorowy: Echa.

Warunki prenumeraty na ostatniej stronie.

Adres Redakcyi i Administracyi: Kraków, Retoryka 12.

Czas 3690/1907/10.

Władysław Orkan.

Z pieśni o buncie.

I.

Oto z doliny łez — pieśń górna wstała,
Łachmany już nie kryją jej boskiego ciała,
Już nie zawodzi, nie płacze, nie jęczy,
Nie gra żałosnych dum na lutni,
Ale w surm bojowy dźwięczy:
„Powstańcie, smutni!“...

.....
Wy, którzy na świat patrzycie z obłoków,
Z siedziby duchów,
Wy, którym życie gra, jak dźwięk łańcuchów,
Jak zgrzyt wleczonych oków,
Na zardzewiałych strunach starej lutni —
Wy, których wiatr po świecie rozpędza i miota,
Jak liście suche —
Wy, których w rozpacz gna przez zawieruchę
Okrutna nędza żywota —
Wy, którzy pośród tłumów, jak pośród leśnych głusz,
Chodzicie w smutku zamyśleni,
Jak cienie własnych dusz,
Jak dusze własnych cieni —
I wy, którzy świtaniem marzycie o czynach,
Jakie świat stary zdruzgocą —
A wieczorem, zamgloną, księżycową nocą
W najświętszych zadumania skrytego godzinach,
Pytacie gwiazd pobladyłych: Po co? — —
I wy, ostatni w tym szeregu,
Najwyżsi ducha wzrostem,
W snach dochodzący do wieczności brzegu
Po włościach tęsknot, rozwieszonych mostem
Nad otchłaniami nicości —
Myślą przelatującą całą drogę krwawą,
Jakoby w jednej dobie
Idącej w słońce ludzkości —
Widzący zgon jej ostateczny jawą,
Gdy się jej dzieła w atomy rozpylą —
Duchem bawiący już na jej pogrobie. —

Powstańcie, o żebracy wiecznego spokoju!
Dla dusz, które się tu poczuły chwilą
Jedyny spoczynek w boju!...

Wezbrało morze cierpieniem —
Powietrze głośnie od mąk —
Z padołu łez — za wyzwoleniem
Wznosi się ku pustce głuchej
Las rozmodlonych rąk...

II.

O dusze w piekle jęczące!
O wieki mąk!
O wieki w strachu milczące!
O lesie rąk błagalnych!
O lesie rąk!
O mózgi krwawe na ościaniach skalnych!

.
O szczęśliwości dumał świat człowieczy
Przez tysiące, tysiące lat —
I w rzeczy
Człowieka męczył człowiek-kat.
Świat dumał o szczęśliwości.
Ponad tym snem pochmurze wieków się przewlekło.
Morze, prastary zegar tej wieczności,
Wnetby po kropli w drugie łożo wciekło —
Przez tyle lat
Dumał człowieczy świat
O szczęśliwości —
I wydumał — — całe dzisiejsze piekło...

O dusze w piekle tem jęczące!
Z pomarłych wieków idzie ku nam szum
Daleki, jak od zaziemskiego wiatru,
Majaczy we mgłę zmartwychwstały tłum,
Głośny, a nie czyniący w powietrzu hałasu,
Tłum widmowego teatru.
Słysząc jakoby głuchy spadek wód,
Niby stężały, ciężki oddech czasu
I turkot kół — i mocny chód
I zbroi chrzęst — i świsty kul

I muzykę, zwycięstwo grającą
I krzyki: wiwat król!
Z fanfarą bowiem, ku niebu bijącą,
Szli wodze ku szczęśliwości,
Wiodąc u swoich zwycięskich rydwanów
Jeńców-Tytanów. —
Ci pewnie na świat nieszczęścia wołali.
A dalej widać ciemne rzesze
W strachu, który padł na nie od stali.
Od rażących je słońcem pancерzy,
Bowieм jedną stal znały: — lemieszе.
Na orłach, które ród rycerzy
W bój o szczęśliwość ziemską wiodły
Między innemi godły
Widać w szponach rozwartych napis: „Ujarmienie“,
A dalej we mgle cienie — cienie
Wiecznie straconych,
Za życia upartych w swej wierze
W kamiennej zatwardziałości,
Przeto zabitych i spalonych
W świętej ofierze
Szczęśliwości...

O wieki mąk!
O wieki w strachu milczące!

Aże nadeszła dni naszych niewola.
Oh, nienadaremno przez tysiące lat
Sączył się w dusze jej pleśniowy jad —
Dziś Ujarmienie nie na orłach,
Dziś mamy je w krwi!
Dusze rdzą plenne, jako te jałowe pola,
Na których rdza żelazna lśni.

Przez serce ludu przeszedł niewoli miecz.
Dość, że ból — śmierć cielesną sprawił,
Jeszcze rdzę-truciznę ducha pozostawił,
Iż naprzód tęsknotą bieży — a myślą wstecz.

Zarówno chwali Państwo i swojego boga.
Gdzież tu odróżnić wroga?

Oh, bracia, tak — wszyscyśmy w dobrowolnej kaźni,
Przykuci do taczek żywota (nasze słowo),
Pohukujemy odważnie, honorowo,
Lecz, jak te dzieci zbłąkane w lesie w noc — z bojaźni.

Strach nami włada — jak potwór stugłowy
Zewsząd na serca niby głązy ciska
Lęk-pobój, grozę-martwicę.
Straszy nas wszystko — nawet skrzydła sowy,
Nawet zielony trawnik cmentarzyska.
Zaiste z duszy strachu niewolnicę
Uczynił człowiek, gnany poprzez wieki
Jak ten zwierz... Gdy uciekł z raję
Przed strachem-mieczem,
Taki wziął pęd daleki,
Iż do dziś dnia ucieka —
Dzisiaj już ze zwyczaju —
I dzisiaj my się już pomęczeni wleczem,
Nawet biedz prędko niezdolni —
W tem istnie jesteśmy — wolni!

O lesie rąk błagalnych,
O lesie rąk!
O mózgi krwawe na ościaniach skalnych!

Długoż jeszcze te krzyki beziły,
Ptaki rozpacznych nocy,
Będą wlatywać z mogił samobójców
W otchłanne stężałe mroki
I padać stękiem na ziemię w niemocy.
Długoż będą — jak ten dzwon — ptak śmierci, dzwoniły?

Długoż jeszcze z tych krwawych, człowieczych ogrojców
Będą spływały czerwone potoki
Po nienazanem polu
W dolinę łez, w to czarne, martwe morze bólu?!

Już się przepełnia...
A opary nie idą ku niebu — w obłoki,
Lecz fala, co się nad powierzchnią zwałnia,
Przelewa się i pada na serca człowiecze

I krwawym potem znów w ogrojce ciecze...
I tak od nowa po koniec — bez końca —
Kiedyż tej męki kres?
Czy dusze muszą rósć
Na krwią uprawnej niwie
W zamrokach ziem, bez słońca,
Gdy wszystko w słońcu żywie?!

Dość!!

Dość już tych łez
Nadaremnie wylanych,
Tych litanii bólów,
Jakby przez Boga nakazanych,
Żalów i żalów bez granic —
Dość tych ofiar daremnych,
Trwóg ziemnych,
Tych świętych poświęceń za nic —
Za strzępy wiar — za grę słów — za królów.
Targania piersi, trzew
I tragicznego gestu. — —

W duszy pozbytej trwóg,
Która się czuje żywą,
Wstaje gniew —
Niewoli wszelkiej wróg —
Budzi się groźny lew
Protestu
I wstrząsa płomienną grzywą...

Niechajże się rozplamieni bunt po wszystkiej ziemi!
Niech buchnie ogień — żar — wybuchy!
Niech burza wstanie!
Niech ziemie dotąd spokojne
Przejmie dreszcz — przestrasz — przebudzenie
I ten pierwszy świt ducha — pytanie:
„Któż to w powietrzu tam prowadzi wojnę?”
Na bój o wyzwolenie!...

.
W nizinach morze wezbrało cierpieniem,
Powietrze głośnie od mąk —
Z padołu łez, za wyzwoleniem

Wznosi się ku pustce głuchej
Las rozmodlonych rąk...

Wstańcie smutni!
Niech was obaczy świat, który uwierzył,
Żeście podani słabości jagnięcej,
Niech was obaczy i niech się zadziwi,
Że jesteście w hojności, jak bogowie rozrzutni —
Bowiem w nędzy swej dajecie więcej,
Niżby kto miarą człowieczą przemierzył
Nie dla oklasku —
I że jesteście żywi!...

Twórcie płomienny czyn,
By z jego blasku
Nakształt czerwonych skrzydeł
Padły smugi czerwone na szereg stuleci —
W górę! Niech łomot waszych skrzydeł
Świat jako grom przełęknie!
Co z nieba duszą — za Wami poleci,
A co z ziemi — od ducha porażone — klęknie!

K. Frech.

Jeszcze o lokaucie w Łodzi.

Piętnaście tygodni mija od chwili zapoczątkowania lokautu łódzkiego, przemija czwarty miesiąc nędzy i cierpień ludzkich, będących wynikiem zbrodniczego samosądu kapitalistycznego nad łódzkim ludem robotniczym. I jakby dla upamiętnienia długotrwałych tych zapasów pracy z kapitałem ukazują się w Nr. 1 »Pamiętnika Towarzystwa Kultury Polskiej« cyniczne słowa »naszych pionierów przemysłu krajowego«, następców Tyzenhausa, Staszycy, Lubeckiego, kierowników Banku Polskiego: panów Scheiblerów, Grohmanów, Steinertów i innych. Słowa ich, służące za odpowiedź na listy zarządu Towarzystwa Kultury Polskiej, który chciał nawiązać nici porozumienia między robotnikami a Związkiem fabrykantów, są doskonałym wyrazem tego znikczemnienia, tego upadku moralnego, jaki charakteryzuje międzynarodowy kapitał wogóle. Wyraźnie i otwarcie powiadają w swej odpowiedzi, że celem tej zmowy fabrykanckiej było »spowodować jak najszybsze wytrzeźwienie klasy robotniczej, łudzonej wciąż jeszcze obietnicami błogiej a rychłej komu-

nistycznej przyszłości», że dążeniem ich było »wyraźnie zadokumentować robotnikom, że w ustroju społecznym, jaki panuje dotąd, rządzić w fabrykach chcą sami fabrykanci i nie pozwolą, aby w nich rządili robotnicy, że wolność najmu, jak również rozwiązywania umowy, musi obowiązywać nadal obydwie strony«. Świadczą w swej urzędowej odpowiedzi dalej, że chcieli zadokumentować, iż nadal wybryki ze strony robotników muszą pociągać za sobą karę, a forma kary, którą zupełnie świadomie wybrali, miała zarazem wykazać robotnikom, że mogą i będą nadal posługiwać się prawem wydalania robotników wogóle. Co zaś najważniejsze, to stwierdzenie ze strony fabrykantów, że nie o fakt i jego skutki tu chodzi, ale o zasadę, że »jest to przełomowa walka dwóch klas i niema w niej miejsca dla pośrednictwa osób trzecich«. — Zresztą nie mają potrzeby śpieszyć się z ujęciem ręki wyciągniętej ku nim przez robotników, bo wszak »straty są objęte kosztorysem«, a ten dotychczas jeszcze je wytrzymuje.

Na tem wstrętne tle kapitalistycznego bezprawia i wyzbycia się uczuć ludzkich, jakżeż wspaniale uwydatnia się solidarność proletaryacka, jakżeż pięknie zarysowuje się szlachetna postać robotnika polskiego, spieszącego ze wszech stron na pomoc walczącym o swą godność ludzką, braciom łódzkim. Jakżeż zarazem pięknie przedstawia się międzynarodowa jedność robotnicza, której wyrazem jest nadsyłanie ze wszystkich stron świata pomocy pieniężnej.

Lokaut łódzki zastał proletaryat polski w warunkach odmiennych od tych, jakie były jeszcze przed rokiem. Przedewszystkiem wykorzystwała klasa robotnicza u nas te okruszyny wolności politycznej, jakie pozostały z zapowiedzianych przez manifest październikowy z roku 1905 swobód obywatelskich, garnąc się żywo do zakładania różnych związków zawodowych i napływając masowo do organizacji politycznych, które w ten sposób znakomicie się rozrosły. Przyczyniło się to w znacznej mierze do tak długotrwałego przetrzymania lokautu, gdyż dzięki ujęciu w ramy organizacyjne, zawodowe i polityczne szerokich mas robotniczych, można było zapewnić zlokautowanym robotnikom większą pomoc pieniężną i to na dłuższy okres czasu. Poza tem nowo utworzone i znakomicie rozwijające się związki zawodowe robotnicze wprowadziły pewien porządek w sposobie wydawania zapomóg, ułatwiły kontrolę, co razem odbiło się nader korzystnie na całości pomocy ofiarom lokautu. Ażeby dać pewne pojęcie o ilości zorganizowanych zawodowo robotników w fabrykach lokautowych, podaję niżej tablicę, obejmującą liczbę robotników wogóle, liczbę członków bezpartyjnego związku zawodowego robotniczego przemysłu włóknistego i stosunek procentowy.

Nr.	Nazwa fabryki związkowej	Ilość robotników	Ilość zwią- kowców	% zorgani- zowanych
1	Poznański . . .	7000	1800	25·7 ⁰ / ₁₀₀
2	Szajbler	7000	1450	20·7 ⁰ / ₁₀₀
3	Heinzel i Kunitzer	3200	1400	43·7 ⁰ / ₁₀₀
4	Grohman	1400	532	30·8 ⁰ / ₁₀₀
5	Steinert	1130	125	9·2 ⁰ / ₁₀₀
6	Biedermann . .	1000	230	23·0 ⁰ / ₁₀₀
	Razem	20730	5537	26·7 ⁰ / ₁₀₀

Szczegółowych danych, tyjących się partyjnych związków robotniczych, zakładanych przez socjaldemokrację K. P. i L. oraz stowarzyszenia »Jedność«, będącego pod wpływem Narodowej Demokracji nie mam pod ręką. Wynoszą one razem conajwyżej połowę zorganizowanych w bezpartyjny związek włóknisty robotników, a czego najlepszym dowodem jest, że partyjne związki robotnicze otrzymują z sum pieniężnych, przeznaczonych przez ofarodawców na związki bez wskazania ich charakteru (czy na bezpartyjne, czy też partyjne) $\frac{1}{3}$ część, bezpartyjne zaś $\frac{2}{3}$. Dla wykazania siły młodego jeszcze związku bezpartyjnego przemysłu włóknistego, nawiasowo dodam, że liczy on w Łodzi i najbliższych okolicach podmiejskich około 25 tysięcy członków.

A zatem 26·7⁰/₁₀₀ ogólnej liczby zlokautyzowanych robotników, jako członkowie bezpartyjnych związków zawodowych otrzymują zapomogi z kasy związkowej według normy: robotnik mający rodzinę — rs. 2 tygodniowo, kawaler zaś — rs. 1·50 na takiż okres czasu. Dodając do tego około 15 proc. jako należących do partyjnych socjaldemokratycznych i narodowo-demokratycznych związków otrzymamy, iż około 45 procent zlokautyzowanych robotników otrzymuje zapomogi z kas swoich związków zawodowych. W liczbie zlokautyzowanych robotników znajduje się znaczny dosyć odsetek metalowców, będących członkami bezpartyjnego związku metalowego w Łodzi, liczącego około 4 tysięcy członków, co wynosi około 75 proc. wszystkich metalowców łódzkich. Otóż ci korzystają z pomocy niesionej im przez związek metalowy, który pozostałe po wypłatach sumy przelewa do kasy związku włóknistego, zasilając bratnią organizację zawodową. Również i obie frakcje Polskiej Partii Socjalistycznej wlewają fundusze zebrane drogą organizacyjną do kasy związkowej, z których to pieniędzy korzystają przedewszystkiem ci członkowie związku, którzy są zarazem członkami organizacji politycznej. Bezpartyjny związek zawodowy robotniczy przemysłu włóknistego wydał sprawozdanie szczegółowe, tyjące się wpływów i zapomóg wypłaconych

zlokautyzowanym zorganizowanym towarzyszom od początku lokautu do dnia 9-go lutego r. 1907, które podają w pewnem skróceniu.

Wpływy:

a) na listy P. P. S.	3.648·02	
b) na marki Związku Włókn.	10.477·02	
c) na bloczki Związku Metal.	1.886·14	
d) za pośredn. C. K. R. P. P.	266·46	
Razem wpływy wspólnej kasy		16.277·64
Z kasy Związku Włóknistego		7.000·—
Stałe dochody Związku Włóknistego		6.275·80
Do kasy Związku Włóknistego przelano:		
a) od związków zagranicznych	6.500·01	
b) od P. P. S. fr. rew.	2.703·19	
c) od C. K. R. P. P. S. fr. rew.	140·—	
Razem		9.343·20
Z kasy Związku Metalowego		2.000·—
Zwykłe dochody Związku Metalowego		1.416·20
Od związków zagranicznych		866·66
Razem suma wpływów		rs. 43.179·50

Wydatki.

Za pośrednictwem Związku Włóknistego wypłacono:		
u Poznańskiego 1 wypłata	2.682·—	
2 »	2.456·50	
3 »	3.225·50	
4 »	3.669·50	
5 »	3.314·—	
6 »	3.357·—	
Razem		18.704·50
Zw. Metalowy wypłacił u Poznańskiego		3.498·—
Za pośrednictwem Związku Włóknistego wypłacono:		
u Heinzla i Kunitzera 1 wypłata	2.011·—	
2 »	2.281·—	
3 »	2.133·—	
Razem		6.425·—
Zw. Metalowy wypłacił u Heinzla i Kunitzera		849·50
Za pośrednictwem Związku Włóknistego wypłacono:		
u Grohmana 1 wypłata	991·—	
2 »	873·50	
3 »	946·50	
Razem		2.811·—
Zw. Metalowy wypłacił u Grohmana		271·—
Za pośrednictwem Związku Włóknistego wypłacono:		
u Scheiblera 1 wypłata	2.367·50	
2 »	2.372·50	
3 »	2.382·50	
Razem		7.122·50
Zw. Metalowy wypłacił u Scheiblera		1.701·—

Za pośrednictwem Związku Włóknistego wypłacono:		
u Biedermanna 1 wypłata	320—	
2 »	320—	
3 »	320—	
Razem		960—
Za pośrednictwem Związku Włóknistego wypłacono:		
u Steinerta 1 wypłata	217—	
2 »	231—	
3 »	233·50	
Razem		681·50
Zw. Metalowy wypłacił u Steinerta		155·50
Razem suma wydatków rb.		43.179·50

Zaś do dnia 1 marca kasa związkowa wypłaciła zapomóg na sumę przeszło 60 tysięcy rubli. Sprawozdań kasowych związków partyjnych SD. i ND. nie podaję z braku takowych, suma zapomóg wynosi około połowy sumy wypłaconej przez związek bezpartyjny włóknisty i metalowy tj. około 25—30 tysięcy rubli.

Jednakże poza zorganizowanymi w związki zawodowe robotnikami pozostaje jeszcze około 10 tysięcy ludzi, pozbawionych pracy wskutek lokautu, a nienależących do żadnych organizacji bądź-to zawodowych, bądź-też politycznych t. zw. bezpartyjnych. Tym ofiarom lokautu łódzkiego przychodzi głównie z pomocą łódzka międzypartyjna i międzyzwiązkowa komisja lokautowa, w skład której wchodzi przedstawiciele bezpartyjnego związku zawodowego przemysłu włóknistego, takiegoż związku metalowego, przedstawiciele partyjnych związków SD. i Bundu oraz delegaci łódzkich organizacji socjalistycznych: Polskiej Partii Socjalistycznej (prawicy i lewicy), Socjaldemokracji K. P. i L. oraz Bundu. Do kasy tej komisji wpływają wszelkie sumy pieniężne przeznaczone przez ofiarodawców wyraźnie do rozporządzenia tej komisji i wpływające doń za pośrednictwem wszystkich organizacji, biorących udział w naradach tejże. Pieniądze dzielone są na posiedzeniach komisji odbywających się zwykle dwa razy tygodniowo, poczem przesyłane zostają do fabrycznych komisji lokautowych, składających się towarzyszy obranych przez cały ogół pracujących w danej fabryce. Delegaci tych komisji obchodzą mieszkania t. zw. bezpartyjnych, wypłacając im zapomogi co tydzień, lub też w braku funduszy, co dwa tygodnie w wysokości mniej więcej takiej samej, jaką otrzymują i członkowie związków zawodowych. Bezpartyjni pozatem otrzymują również pewne zapomogi i od bezpartyjnego Komitetu obywatelskiego, zorganizowanego przez wybitniejsze i lepsze jednostki z pośród inteligencji łódzkiej, za wyjątkiem oczywiście ludzi ze sfer NDecyi. Dotychczas Komitet ten wywiązywał się ze swoich obowiązków bez zarzutu, oczywiście w miarę posiadania środków, nie

kierując się żadnymi względami partyjnymi, co znów nie podoba się narodowym-demokratom. Jak twierdzą delegaci Komitetu obywatelskiego, o pomoc zwracają się głównie robotnicy, należący do związku chrześcijańsko-demokratycznego, lub do narodowo-demokratycznej »Jedności«. Świadczy to o niewypełnianiu przez te organizacje obowiązków względem swoich członków w tak ciężkiej dla robotnika chwili, jaką jest lokaut, co tembardziej przekonywa masy robotnicze, że organizacje chrześcijańsko-narodowo-demokratyczne założone zostały głównie dla uformowania kadrów łamistrejkwów, lecz nie do celów dopomagania robotnikom w ich walce ekonomicznej.

Szczegółowe sprawozdania dotyczące działalności międzypartyjnej i międzyzwiązkowej komisji lokautowej łódzkiej dotychczas nie zostały wydane; wiadomo tylko, że od początku lokautu wydała ona zapomóg na sumę 108 tysięcy rubli, pozatem zajmowała się technicznymi i organizacyjnymi sprawami prowadzenia akcji ratunkowej, zabierała głos w odpowiedzi na memoriał Poznańskiego, zwracała się do ogółu robotniczego, informując go we wszelkich sprawach związanych z lokautem itp. Fundusze w olbrzymiej części czerpała z ofiar robotniczych, zbieranych za pośrednictwem lokalnych międzypartyjnych i międzyzwiązkowych komisji lokautowych w Warszawie, Zagłębiu i inn.

W ostatnich tygodniach pomoc całej klasy robotniczej polskiej robotnikom łódzkim inny, prócz nadsyłania pieniędzy, znalazła wyraz. Mianowicie ze wszystkich stron kraju, ze wszystkich ośrodków przemysłowych, z Warszawy, Zagłębia, Częstochowy, Lublina, Kielc, Kamińska, Zawiercia i wielu innych napływać zaczęły do komisji lokautowej, do zarządów związkowych i do Komitetu obywatelskiego oferty rodzin robotniczych z propozycją przyjmowania do siebie dzieci łódzkich na cały czas trwania lokautu, starając się w ten sposób spotęgować pomoc braciom łódzkim, walczącym ze Związkiem fabrykantów. Z ofert tych skwapliwie skorzystały rodziny robotnicze wysyłając codziennie setki dzieciaków w różne strony, pod opieką starszych. Bez wątplenia przyniesie to podwójną korzyść, użył przedewszystkiem znacznie rodzinom robotniczym z drugiej zaś strony widok wynędzniałych dzieci pobudzi ich czasowych opiekunów do energiczniejszego zbierania ofiar na rzecz robotników łódzkich.

I chociaż trudno przewidzieć wynik niebywałego w dziejach polskiego ruchu robotniczego zmagania się robotników z kapitałem, to jednak, bez względu na niego, już teraz można powiedzieć, że polska klasa robotnicza ogromne odniosła zwycięstwo moralne, które w przyszłości mieć będzie wielkie dodatnie bardzo skutki praktyczne. Mianowicie robotnicy zrozumieli w okresie walki, że jedyną siłą, która tę walkę

ułatwić im może, jest organizacja jak zawodowa tak i polityczna. Następnie wykazaną została potęga solidarności proletaryackiej, znaczenie której w walce robotniczej zostało przez proletaryat polski zrozumiane i jest gwarancją, że poczucie tej solidarności będzie się teraz coraz więcej potęgowało. Najgłówniejszym jest poznanie przez robotników łódzkich wstrętnej fizjonomii klasowej Narodowej Demokracji, stronnictwa przelewania »krwi bratniej«, która przez cały czas trwania lokautu jedynie darzyła robotników — złorzeczeniami i prowokatorsko podszczuwała opinię społeczną przeciwko głodnym robotnikom łódzkim.

Jakżeż rażąco a wspaniale zarazem odbija się na tle egoizmu klasowego fabrykantów łódzkich, klasowa solidarność robotników polskich.

Wacław Sieroszewski.

Wycieczka w dziedzinę przyczynowości.

(Urywek z pracy „Formuła społecznego rozwoju“).

Podstawą wszelkiego poznania jest porównanie.

Najdoskonalsze porównania czynimy wtedy, kiedy przedmioty lub zdarzenia zestawiamy ze sobą bezpośrednio; na przykład: minerał z wziętą z muzeum próbką, lot ptaków szybujących razem, działanie tych samych promieni słonecznych na rozmaite przedmioty, albo zmiany, zachodzące w tych samych warunkach w różnych odczynnikach chemicznych i t. d. Wszelkie opowiadania, opisy i rysunki, wyliczenia, miary i wagi są jedynie surogatami porównań bezpośrednich.

O wiele wszakże częściej na każdym niemal kroku posiłkujemy się dla poznania porównaniem pośrednim, kiedy zestawiamy zjawiska spostrzegane ze wspomnieniami wrażeń podobnych, odebranych poprzednio.

Gdyby pamięć nasza posiadała nieograniczoną pojemność oraz zawsze jednakową siłę odtwórczą, gdyby nasze zmysły działały przy postrzeganiu zawsze z jednakową ostrością, nasze porównania pośrednie odznaczałyby się taką samą ścisłością i wszechstronnością jak bezpośrednie. Przy każdym postrzeganiu wpływałoby w naszej wyobraźni odpowiednie, niezmiernie jasne i szczegółowe wspomnienie, łatwe dla częściowych albo całkowitych porównań.

Ale tak nie jest. Pamięć może odbierać i zachowywać stosunkowo nieznaczną ilość wrażeń. Wspomnienia i postrzegania zależne od tysięcy okoliczności, różnią się niezmiernie jakościowo i ilościowo nawet

u tego samego osobnika; u różnych zaś osobników ich stałość i podobieństwo jeszcze bardziej maleją. Wskutek tego obszerne i wszechstronne poznanie świata oraz porozumienie się z sobą osobników, stało się możliwe jedynie w pewnej ekonomicznej, cząstkowej formie zapamiętania i porównania, jaką daje klasyfikacja.

Klasyfikacja polega na kojarzeniu wrażeń przedmiotowych w jedno pojęcie na podstawie niezupełnego, częściowego podobieństwa. Mamy tu na myśli klasyfikację pospolitą, powszechną w świecie żyjącym. Zaródź jej spoczywa w pierwszych drgnieniach wszelkiej wrażliwości, jej blade zarysy spostrzegamy w kopizmach roślin i niższych organizmów *); na wyższe stopnie wznosi się ona u kręgowców, wreszcie u człowieka sięga wyżyn naukowych, gdzie opiera swe porównania na głębszych i trwalszych podobieństwach, na składzie chemicznym, pochodzeniu, krążeniu krwi, rozmnażaniu się i t. d.

Wszędzie i zawsze klasyfikacja jest wyrazem możliwego zaoszczędzenia sił osobnika w poznawaniu i obcowaniu ze światem zewnętrznym. Im szybciej dokonywała się ona i im była dokładniejszą, tem więcej bezpieczeństwa i pożywienia zapewniała swym posiadaczom.

W rozwoju swym rozmaite organizmy specjalizowały swe zdolności poznawcze: jedne stawały się bardziej wrażliwe na rozmaite rodzaje światła, inne na pewne wpływy chemiczne, jeszcze inne na temperatury, na wilgoć i t. d., zależnie od zgubnych i dobroczynnych ich wpływów. Im słabsze było zróżniczkowanie czuć, im mniej rozwiniętą pamięć, tem ogólniejszą, mglistszą i ułomniejszą musiała być z istoty rzeczy wynikająca z nich klasyfikacja. W każdym razie cecha, na której opierała się ona, musiała działać stale i długo na szereg osobników i utrwalić się w ich wrażliwości dziedzicznie.

Dla istot, obdarzonych ruchem dowolnym, ścigających swą zdobycz lub uchodzących od swych prześladowców, ruch z konieczności stał się niezbędną cechą ich najpierwotniejszych i najogólniejszych klasyfikacyj. Świat cały rozpadał się dla nich przedewszystkiem na przedmioty ruchome i nieruchome.

Ludzkość odziedziczyła tę klasyfikację po swych przodkach zwierzęcych. Ruch lub bezruch jest i po dziś dzień najistotniejszym czynnikiem ludzkiego spostrzegania. Skoro zauważymy daleko na drodze ciemny punkt, który chcemy poznać, to staramy się przedewszystkiem określić, czy on porusza się, czy stoi na miejscu. Następnie dopiero z jego wielkości, względnie do otaczających przedmiotów, z zachowa-

*) Patrz: Jaques Loeb „Wstęp do fizjologii i psychologii porównawczej“, Warszawa r. 1906.

nia się, z kształtów, wreszcie z barwy, która jest najmienniejszą, wnioskujemy czy to jest owad, ptak, zwierzę, czy też człowiek. Przypuśćmy, iż w miarę, jak przedmiot zbliża się, zmysły nasze sygnalizują, że to nie jest ani ptak, ani zwierzę, ani człowiek, ani żaden z widzianych i zapamiętanych przez nas przedmiotów. Toczy się po drodze, jak kolaska, ale nie ma przed sobą koni. Ci, co widzieli maszyny, co słyszeli albo czytali o nowszych wynalazkach, zaczynają domyślać się, że mają przed sobą samochód. Ale ludzie dzicy zachowują się zupełnie inaczej wobec biegnącego ku nim przedmiotu, którego z niczem znanym nie mogą porównać; oni albo rzucają się do ucieczki, albo napadają nań, zależnie od swych uczuciowych nałogów. Tak samo postępują zwierzęta wyższego rzędu, gdyż te, co czyniły inaczej, wyginęły od drapieżników i nie zostawiły po sobie potomstwa.

Lecz nie wszystkie poruszające się przedmioty przedstawiają pożądaną łup, albo niebezpiecznego wroga. Dlatego zdolność odróżniania przedmiotów o ruchach nieprawidłowych, stale dowolnych, stała się z kolei olbrzymim krokiem na drodze zaoszczędzenia energii. Równoległe musiało rozwijać się — u zwierząt słabiej, u pra-ludzi silniej — pojęcie przyczynowości, *) to jest pamięć doświadczenia, że zjawiskom podobnym towarzyszą niezmiennie lub następują po nich stale inne również do siebie podobne. Wszystkie zmysły dostarczały zwierzętom pod tym względem licznych, zgodnych wskazówek.

Człowiek już na najniższych szczeblach rozwoju ma odnośne doświadczenia skryształizowane w bardzo wyraźny pogląd. Jest rzeczą godną uwagi, iż w tej wyższej, szczegółowszej klasyfikacji oddech stał się dlań cechą zasadniczą istot o ruchach dowolnych. Większość plemion dzikich nie zna wyrazu „życie“, „żyjący“ i zastępuje go wyrazem „dyszący“, „z oddechem“. Ciężkie rany, głębokie omdlenie, wreszcie śmierć, gdy bezwład łączy się z utratą oddechu, jeszcze silniej

*) Jestem stanowczo zdania, że pojęcie przyczynowości nie jest wyłącznie ludzką właściwością, posiadają je w mniejszym lub większym stopniu ptaki i zwierzęta, szczególnej towarzyskie. Spostrzeżenia myśliwskie dały tego liczne dowody. Ale najbardziej uderzających przykładów dostarcza tresura zwierząt. Obserwowałem raz, jak uczone młode szczenię odszukiwać zgubione przedmioty. Długi czas nie pomagały ani kary, ani pieszczoty. Pies martwił na początku lekcji, kładł się nieruchomo na ziemi, wtulał pysk między łapy i tylko zerkał bojaźliwie na pana. Dopiero gdy raz wypadkiem wszedł w łapki przyczynowości i zrozumiał, o co chodzi, niezmiernie skwapliwie i z wielkim zadowoleniem zaczął spełniać wskazane, czynności. Stało się to tak nagle i wywołało taką psią radość, że miałem wrażenie, iż zwierzę zrobiło odkrycie. Dalsza nauka poszła już o wiele łatwiej. W kwestyi przyczynowości patrz ciekawe i łatwo napisane: „Odczyty popularno-naukowe“ E. Macha, Łódź 1899 r.

zespoliły pojęcie „tchnienia“ z pojęciem życia. Następnie okoliczność, że ranny, omdlały, przyduszony, wcześniej zaczyna dyszeć, niż poruszać się, postawiła oddychanie w wyobrażeniach pierwotnych obserwatorów na czele powyższego przyczynowego związku, uczyniła go przyczyną życia — „duszą“.

Wierzenie to jest powszechnem; wszystkie ludy dzikie i barbarzyńskie, oraz gmin ludów ucywilizowanych utożsamia po dziś dzień duszę z tchnieniem, czego liczne dowody przechowują się w zwrotach mowy, w obyczajach i ceremoniach pogrzebowych, a najjaskrawszym czego przykładem jest biblijne podanie o Bogu, który stworzył Adama z mułu ziemi i tchnął w niego duszę.

Człowiek pierwotny tchnął „duszę“ w całe swe otoczenie. Był to nowy znaczny krok dalszy na drodze zaoszczędzenia życiowej energii. Luźne grupy zjawisk powiązały się w całość i przemówiły do spostrzegacza zrozumiałym językiem. W lesie zdarzeń i przedmiotów, coraz łatwiej rozpoznawał on przy pomocy tego pojęcia rozmaite kierunki; jednocześnie wąta i rwąca się nić pierwszej hipotezy znacznie ulżyła jego pamięci. Posiadł busolę pierwszych praw przyrodniczych, z którą już śmieiej i udatniej puszczał się w nieznanne krainy lub spotykał nowe zjawiska.

Busola owa była dlań niezwykle dogodna, gdyż nosił ją wciąż z sobą. Wszystko miało „duszę“, wszystko żyło, oddychało, łaknęło, pragnęło, kochało i nienawidziło, jak on; wszystko można było ubłagać datkiem, wstrzymać postrachem lub nie dopuścić do siebie fizyczną przeszkodą. W każdym nowym wypadku, aby odgadnąć dalszy ciąg, pytał, jak by sam postąpił, a ponieważ sam był też częścią przyrody, więc dużo odpowiedzi wypadało trafnie. W ten sposób przezorność pierwszego filozofa, jego zdolność przewidywania i przepowiadania chyżo wzrastały a z nimi wzrastała i jego ufność w samego siebie i nadzieja lepszej przyszłości — jeden z najgłówniejszych czynników zwycięstwa.

Okres animizmu w dziejach ludzkości trwał niezmiernie długo, był największym ze wszystkich, jakie do dziś przeżywała myśl ludzka. Jego narodziny, tworzenie się i przemiany ściśle zespalały się z nadzwyczaj doniosłymi odkryciami i wynalazkami, z poznaniem i udoskonaleniem narzędzi, z użytkowaniem ognia, z przyswojeniem zwierząt, z ukształtowaniem się mowy i rozwojem społeczności. Na ślady jego w naszym życiu trafiamy na każdym kroku. Dotychczas mówimy, iż słońce „wschodzi“, że „tańczą“ lub „nacierają“ wichry, że „biegną“ fale, że „zasypia“ las; wspominamy o wilgotnym „oddechu“ bagien, o „groźnym“ wyglądzie skał, o „żarłoczności“ ognia. Dotychczas dla określenia przyrody nieorganicznej używamy wyrazu „martwa“, co znaczy

„umarła“ — zwrot pochodzący z czasów kiedy przypuszczano, że wszystko rodzi się, czuwa, śpi, żyje lub umiera.

Potężny, doniosły i dobroczynny wpływ animizmu, na rozwój człowieczeństwa nie ulega wątpliwości. „Będąc sam jego skutkiem, stał się w następstwie nową jego przyczyną“ — powiedziałyby zwolennik przyczynowości *). Dla nas on pozostanie koniecznym jego warunkiem.

* * *

„Wszelkie zagadnienia filozoficzne są tylko szczególnymi przypadkami najogólniejszego zadania nauki — zadania przyczynowości. Pojęcie związku przyczynowego pomiędzy zjawiskami, napotykamy nie tylko u ludów na najniższym szczeblu cywilizacji stojących, lecz nawet i u zwierząt. Śledząc rozwój myśli ludzkiej, widzimy, że pojęcie przyczynowości przedstawiało się w dwojakiej formie. Na pytanie, skąd pochodzi wiatr i deszcz, grzmot i błyskawica? odpowiedziano: Bóg wiatru, Bóg grzmotu wywołuje te zjawiska. W tych fenomenach człowiek widzi przyczynę nadnaturalną. Lecz obok takich przyczyn ma też i przyczyny naturalne. Rzucony oszczep zabija zwierzę. W tym ostatnim przypadku, związek pomiędzy przyczyną i skutkiem jest dostępnym dla zmysłów, jest naturalnym. Z rozwojem myśli ludzkiej przyczyny nadnaturalne stopniowo ustępowały miejsca przyczynom naturalnym, tak, że prawdziwa wiedza uznaje tylko przyczyny naturalne“ **).

Jest to najpospolitszy z poglądów na przyczynowość. Technie on głęboką wiarą w niewzruszoność powyższej zasady i widzi cel prawdziwej wiedzy w objaśnieniu zjawisk za pomocą przyczyn naturalnych.

Już sam podział przyczyn na naturalne i nadnaturalne, który jakoby ma miejsce w umysłach pierwotnych, nie godzi się z rzeczywistością. Badania etnograficzne wykazują, że klasyfikacja i urabianie się pojęć idą zgoła inną drogą. Dzicy tłómaczą wszelkie zjawiska niezwykle prosto przez zupełną analogię ze sobą, z człowiekiem. Dzida, według nich, nie dla tego trafia i zabija zwierzę, że została rzucona wprawną ręką, lecz dlatego, że ma duszę żądną krwi i zdobyczy. Aby żądę tę w pocisku podtrzymać, maczają jakuccy myśliwcy ostrza swych strzał w posoce świeżo zabitej zwierzyny, a tungusi dowodzili mi, że kula, wydobyta z zastrzelonego zwierza, celniej bije, gdyż „zna drogę“. Uwa-

*) Musimy przyznać, że bardziej logiczni zwolennicy przyczynowości nie pozwalają sobie na podobne młynkowanie. Według nich stosunek między przyczyną i skutkiem jest stały i nieodwracalny. Patrz: Dr. Jan Łukasiewicz. „Analiza i konstrukcja pojęcia przyczyny“. Przegląd Filozoficzny. Rok IX zeszyt II i III. „Przyczynowość“.

***) Wilhelm v. Reichenau „Filozofia monistyczna“ str. 1.

żałem wielokroć, że mieszkańcy Północno-Wschodniej Syberyi, nawet tamtejsi Rosyanie, kozacy szczególnieją cenią brzeszczoty, które już się we krwi pławiły, że chętnie mażą tłuszczem noże i oszczepy, twierdząc, że te to „lubią“. Wśród ainosów znalazłem te same przesady. Nawet wielu samurajów japońskich do tej pory wierzy, że ich starożytne szable bojowe mają duszę, łaknącą ciała ludzkiego. Dlatego istnieje przesąd, że nie należy ich nigdy całkowicie z pochwy wyjmować. Pamiętam przerażenie pewnej znajomej japonki, gdy mąż jej, pokazując mi rodzinną szablę, wyciągnął wypadkiem z pochwy koniuszek klingi. „Schowaj, schowaj!“ krzyknęła, a Japończyk, którego twarz też dziwnie pobladła, objaśnił mi, że często samuraj, idąc za podszeptem „obnażonej szabli, wpada w szal i rąbie wszystkich w około. Dzicy wojownicy, wypuszczając strzały, często w zakłęciach wskazują im drogę. To samo czyni u Homera Ajaks młodszy — Strzałomiotnik (Tellamones).

Człowiek pierwotny traktuje oręż oraz wszelkie pożyteczne dlań narzędzie, jak drogiego, równego sobie towarzysza. Jakuci upewniali mnie, że ludzkie wyroby, a szczególnie narzędzia „mają“ bardzo wrażliwego ducha (iereri), którego nie należy obrażać, gdyż wtedy narzędzie łatwo psuje się, tępi, łamie albo ginie. Tungusi, jukaginy, czukczowie, buryaci, mongołowie niechętnie nazywają właściwymi imionami używane w drodze przedmioty i starają się zastąpić nazwy przez ogólne ich odpowiedniki: siekiere nazywają żelazem, łódź — drzewem albo deską, siodło — podsiótką, łuk — krzywulą i t. d. A wszystko w celu uniknięcia nieporozumień z tymi przedmiotami.

Można przytoczyć tysiące przykładów podobnych zapatrywań u ludów o niższej kulturze i inteligencji. Dla animisty błyskawica, chmura, wiatr... jest taką samą istotą, jak góra, rzeczka, drzewo, kamień... jak jego własna dzida, jak wreszcie on sam. W tym systemacie nie ma miejsca na przyczyny bliższe i dalsze, naturalne i nadnaturalne. Przedmioty żyją życiem samodzielnym, łączy ich w jakie takie grupy jedynie podobieństwo zewnętrzne, działa zaś każdy na zasadzie antropomorficznej woli osobistej. Niewykształcona pamięć dzikich utrzymuje wyraźnie w swem polu zaledwie najbardziej poufale im przedmioty i wydarzenia; ich zdolność kojarzeniowa działa sprawnie w granicach li tylko właściwych im potrzeb, nałogów i wypadków. Wszystko, co leży poza bezpośrednio dotyczącym ich kołem, co nie często trafia się w codziennym obiegu ich bytu, obchodzi ich mało, sprawia na ich umysłach wrażenie krótkotrwałe, słabe i mgliste. Powszechnie znaną jest obojętność barbarzyńców na cuda cywilizacji. Gdy gromada czukczów weszła raz do mego warsztatu, zaszczyciła przelotną zaledwie

uwaga: zegar, grającą pozytywkę, malowane obrazy i sztychy — rzeczy, których nigdy przedtem nie widziała — krótkie zainteresowanie wzbudził w nich magnes, przyciągający igłę, zato rozsiedli się na długi przed powieszonym na rzemieniu kamieniem i poważną nad nim przeprowadzili debatę. Zakończyła się ona wysłaniem do mnie deputacy z zapytaniem: po co on wisi?

Każdy podróżnik wie, jak szybko nużą się dzicy, rozpytywani dłużej o cokolwiek, jak gniewają się, odpowiadają bezmyślnie, byle co, często powtarzają poprostu zapytanie lub milkną i zasypiają w czasie rozmowy. Gadatliwi szczegółowi i nieraz dowcipni w potocznej rozmowie i opowieściach ze swego powszedniego życia, wyszedłszy poza jego szranki, stają się małomównymi, ograniczonymi mrukami. Tungusi, którzy chętnie i dokładnie opisywali mi wodozbiory wielkich rzek i nawet rysowali ich mapy, nie mogli dać sobie rady z kilkunastoma tabliczkami farb, kiedy prosiłem, aby mi ułożyli je za sute wynagrodzenie według wskazanego wzoru. Po kilku minutach zajęcia sowieli, oczy im kleiły się i odsuwali pudełko ze zniecierpliwieniem. Nie znali wielu barw, których rozróżnianie wcale im w życiu nie było potrzebne.

Zjawiska przyrody nawet bardzo uderzające, jaskrawe i niezwykle wchodzą niezmiernie wolno w obieg inteligencji pierwotnej; żadna spekulacja umysłowa znanych nam ludów nie oparła się na burzach, błyskawicach, potopach, wybuchach wulkanów; przeciwnie: sądzimy, że zjawiska te działały wstrząsająco lecz niejasno i znikomo, że zostały zapamiętane oraz objaśnione dopiero wtedy, gdy inteligencya, pamięć i zdolność kojarzenia, co w gruncie rzeczy jest to samo, wyćwiczone na codziennych doświadczeniach, mogły je do swej skarbnicy wkluczyć.

Używanie przedmiotów dość jest rozpowszechnione wśród zwierząt i nawet wśród niższych stworzeń. Pająk pustelnik zamyka kamieniem otwór swego podziemnego mieszkania. Rak morski (*eupagurus bernhardus*) nakłada na swój nagi ogon, niby tarczę ochronną, skorupę ślimaka (*buceimum undatum*). Niedźwiedź sybirski nie śmie napaść otwarcie na stado dzików ale, spostrzegłszy je pod skałą, stacza na nie głazy. Rozdrażnione pawiany również staczają na nieprzyjaciela kamienie z urwisk. Orangutangi na wolności, kładąc się spać, podścielają pod siebie wielki liść a drugim nakrywają się niby kołdrą. Nareszcie bardzo wiele zwierząt buduje sobie mieszkania. Spis przykładów można by znacznie przedłużyć. Nie zauważono wszakże do tej pory, aby jakiegokolwiek zwierzę używało przedmiotów w charakterze narzędzi. Wprawdzie oswojone małpy umieją korzystać z korkociągu, noża, widelca, łyżki, a słynny orangutang, obwożony przed paru laty przez przedsiębiorcę po Europie, wybornie naśladował przy uczcie złotych

młodzieńców, lecz zawsze był to rezultat pewnej ludzkiej tresury. Najłatwiej i najprędzej małpy uczą się rozbijać kamieniami pestki i orzechy. Tu bez zaprzeczenia stajemy na granicy, gdzie lekki wysiłek umysłowy, dostępny dla małpoludów, mógł swobodnie skojarzyć czyn z rezultatem. Nie możemy się wszakże zgodzić, aby ten wysiłek umysłowy był uważany za przyczynę wynalazku narzędzi.

Wprawdzie inteligencya odgrywa ważną rolę nawet przy używaniu przez zwierzęta przedmiotów, gdyż nie wszystkie tego rodzaju wypadki dadzą się sprowadzić do dziedzicznych, nieświadomych refleksów. Najinteligentniejszych z czworonogów, słoń opędza się od owadów ułamaną gałązką, czego nie czyni ani koza, ani żyrafa, ani koń, często zrywające gałęzie i nawet wymachujące niemi, zanim je zjedzą. Bury niedźwiedź, który ma łapy zdolne do trzymania, który może stać na zadnich nogach i siadać, napadnięty przez komary umie tylko groźnie ryczeć, głupio bić się po pysku, niezdarnie koziołkować, rzucać wściekle na napastników piaskiem i liśćmi, wreszcie uciekać i zanurzać się w wodzie po uszy, lecz nie przychodzi mu wcale na myśl, że może się od nich odpędzić ułamaną gałęzią, chociaż obłamuje nieraz całe drzewa i zwłóczy góry chrustu dla pokrycia zostawionej na zapas zdobyczy.

Bez zaprzeczenia stopień inteligencyi był jednym z niezbędnych warunków dla użycia narzędzia a bardziej jeszcze dla zapamiętania jego pożytecznej działalności, lecz prócz tego niezbędna była ręka wykształcona przez chwytanie gałęzi, trzymanie owoców, plecenia gniazd z prętów, niezbędny był sam kamień odpowiedniej wielkości i drugi kamień albo skała jako kowadło, co wszystko znaleźć można było jedynie u stóp drzew i to nie wszędzie. Musiały więc istnieć inne uprzednie zdarzenia, które zepchnęły gromady antropoidów z ich dziedzin powietrznych, z wysokich pięter lasów dziewiczych i zagnały ich na opoki, na krawędzie puszczy, lub brzeg morski, gdzie twarde, nieemożliwe do rozgryzienia muszle, kości i skorupy, usposabiały do użycia kamieni. Wynalazek narzędzi wymagał według nas jeszcze jednego warunku, mianowicie życia gromadzkiego odkrywców. Jedynie naśladownictwo — powszechne u zwierząt towarzyskich — mogło podchwycić, przechować i utrwalić jako nałóg, pojedyncze użycie narzędzia.

Nie twierdzimy bynajmniej, że kamień był pierwszym narzędziem, mógł niem być poprzednio albo jednocześnie kij do strącania owoców, sznur z wici spleciony itd., nie chodzi nam również o wszechstronną i wyczerpującą analizę tego ważnego wypadku, lecz przytoczyliśmy go poprostu jako jaskrawy przykład, że nawet tak proste, elementarne,

społeczne zdarzenia, jak wynalazek narzędzi, jest w rzeczywistości zjawiskiem niezmiernie złożonym, oraz próbowaliśmy wykazać wyższość warunkowego opisu naukowego nad przyczynowym tłumaczeniem zjawisk. Opis naukowy nie ogranicza się do szczegółowego wyliczenia części składowych, oraz okoliczności zjawiska w ich współrzędności i kolejności, lecz ustawia wszystkie warunki jego, w perspektywie ich wpływów, dając możliwie wszechstronny, dokładny, szczegółowy a jednocześnie przejrzysty obraz całego kompleksu wydarzeń. Talent i zasługa uczonego polega jedynie na głębi ujęcia i jasności przedstawienia badanego splotu*). Przyczynowość, która z charakteru swej istoty, albo dąży do rozbicia każdego zjawiska na możliwie drobne cząstki, albo umyślnie zaniedbuje większość cech, wysuwając naprzód jedną, co ogromnie paczy i zubaża wszelkie badania. Ale opis naukowy możliwy jest dopiero na pewnym poziomie wiedzy, on musi korzystać z całego szeregu myślowych i językowych skrótów i opierać się na doświadczeniach, zamienionych w pewniki. Czy możliwą jest rzeczą wytłumaczyć jakiemuś fetyszyście, że wiatr powstał z ruchu powietrza, uwarunkowanego różnicą jego temperatury i wilgoci, że na jego kierunek wpływają morza, stepy, góry, obrót ziemi, przyciąganie księżyca i słońca?... Potrzeba by przedtem zapoznać go z szeregiem naukowych odkryć i przerobić z nim setki doświadczeń, których zresztą on by nie pojął i nie umiał powiązać, dzięki słabości swej niewycwiczonej pamięci. Nie jest to przypuszczenie, lecz doświadczenie, jakiego dokonałem wielokroć w obcowaniu z dzikimi.

Dlaczego wszakże ludzkość w tłumaczeniach i zapamiętaniu zjawisk poszła drogą przyczynowości? Ograniczony swymi zmysłami i uczuciami w poznawaniu świata zewnętrznego człowiek prosto inną drogą iść nie mógł, gdyż to była droga najmniejszego wysiłku. Klasyfikacja wrażeń, towarzysząca ich różniczkowaniu się, jak to wskazaliśmy powyżej, doprowadziła człowieka do animizmu, najprostszego, zwierzęcego prawie uogólnienia. Ponieważ przedstawia on ogromne zaoszczędzenie pamięci, te grupy ludzkie, które przyswoiły go sobie, cieszyły się powodzeniem, w walce o zachowanie życia wzmocniały się, mnożyły i rosły...

Animizm jest pierwszym systemem przyczynowego pojmowania zjawisk. Stąd już bite szlaki wiodą do wszelkiej teozofii i metafizyki, do wszelkiego sprowadzania zjawisk do pewnej stałej

*) Patrz niezmiernie ciekawe w tej kwestyi uwagi Dr. J. Kodisowej w artykule „Rzeczywistość i jej naukowe ujęcie“ studia filozoficzne. Wydawnictwo Przeglądu filozoficznego 1903 r.

niezmiennej przyczyny przyczyn. Czy ta przyczyna jest materialna, czy spirytualna nie zmienia to rzeczy. Zawsze pozostaje ona tym fetyuszem, któremu kłaniali się nasi przodkowie, a który właściwie jest odbiciem naszej duszy i naszego ujęcia przyrody.

Ta ostatnia właściwie nie zna przyczyn i skutków, lecz zna jedynie warunki zjawisk.

Nie jest to wcale jedno i to samo, gdyż warunkowe pojmowanie zmusza nas do pomnażania i wysubtelniania naszej obserwacji, do wyrabiania naszej pamięci, gdy tymczasem przyczynowość dąży stale do zbrutalizowania ich, do sprowadzenia najzawilszych wydarzeń do pojedynczej, niezwykle prostej, ale urojonej i zupełnie dowolnej istoty. To wprawdzie ogromnie ułatwia zapamiętywanie procesów, lecz jednocześnie pacy je i zuboża w naszych pojęciach. Dlatego musimy wyzwolić się z więzów przyczynowości i przejść do wyższych metod myślenia, które tak się mają do swej poprzedniczki, jak stereometria do planimetrii.

M. Szarota.

Parlament niemiecki.

Kiedy telegraf rozniósł po świecie pierwsze rezultaty wyborów z dnia 25 stycznia, mimowolnie rodziły się w głowach zestawienia, porównania i analogie między tą klęską socjalistów, a tą, którą przed 20 laty ponieśli oni w Niemczech. Analogizowanie to posunięto wszakże za daleko, bo przez niekrytyczne stawianie obok siebie tych dwóch zwrotnych w dziejach socjalizmu niemieckiego momentów, dochodzono niemal do identyfikowania ich ze sobą. Rezultatem tego było wreszcie to, że nie brano więcej *au tragique* wyniku styczniowych wyborów, bo na pociechę miano i bezwzględny przyrost głosów socjalistycznych i różowe horoskopy na przyszłość — nowy rok 1890, który nastąpił po klęsce 1887 roku. W rzeczywistości jednak klęska jest poważna i na to, ażeby mógł po niej nastąpić nowy tryumf, nowy wzrost i potęgi moralnej i znaczenia socjalistów w Niemczech, potrzeba będzie długiej i mozolnej pracy w łonie samego stronnictwa, potrzeba będzie otrząsnąć się z przestarzałych formułek, które nie mogą już wystarczyć dziś na to, ażeby móżdżki żywo oddziaływać na szerokie masy, trzeba skrzesać w tych masach drzemiącą dziś w nich energię i zasilić się niemi, trzeba dokonać rewizji taktyki werbunkowej i bojowej i wreszcie rozorać i użyźnić młodymi sokami niejednen ze skamieniałych ugorów, co z biegiem lat się utworzył na bujnej do niedawna glebie niemieckiego socjalizmu.

Pod tym właśnie względem — pod względem wewnętrznej organi-

zacy, taktyki i stosunku do ludności, partya socyalistyczna nie potrzebowala sobie robic w 1887 roku zadnego wyrzutu, dzis jednak, gdy warunki i rozwój mysli socyalistycznej, a przedewszystkiem szersze ramy partyi wymagaly innego, zywszego oddziaływania, partya ma niejedyn powód do uderzenia się w piersi i zawołania głośno: moja wina!

Co do zewnetrznych przyczyn, które spowodowaly zarówno w 1887 roku, jak również i dzis klęskę socyalistyczną, to, rzecz naturalna, moznaby wykazac wiele analogij.

25 listopada 1886 roku Bismarck, nie czekajac na legalną ekspiracyę septennatu, przeprowadzonego w 1874 roku, a sprolongowanego mu w 1880 roku przedložyl parlamentowi niemieckiemu projekt nowego przedłużenia etatu wojskowego, projekt, który miał izbie niemieckiej odebrać na cały szereg lat prawo wszelkiej ingerencyi w sprawach polityki zagranicznej i w militarnych przedsięwzięciach państwa. Nadto zażądano od izby przyzwolenia na powiększenie kontyngensu o 40.000 żołnierza, a jako motyw takich wymagań wskazano na Francję, gdzie rewanszardzi święcili wówczas tryumfy, a »opatrznościowy mąż« general Boulanger, niedoszły dyktator rzeczypospolitej, ścisnąwszy pięć w kieszeni, wygrażał się Bismarckowi i całej niemieckiej potędze. W Niemczech, na całej linii od Wogezów aż po Łabę, zapanowala ruchawka. Podsycał ją Bismarck, podzegli szowiniści niemieccy, którym się znów majaczyły nowe zmagania dwóch wrogów dziedzicznych, nowe podboje »granic naturalnych«, nowy moment dziejowy, kiedy *gallica furia* i *furor teutonicus* — mieli do nowych zapasów wystąpić. Tylko w większości izby niemieckiej, która po pierwszej abdykacyi ze swoich praw suweralnych, abdykacyi, której była dokonala na korzyść Bismarcka zaraz nazajutrz po wielkich tryumfach oręza niemieckiego, a teraz zdążyła już nieco oprzytomnieć z pierwszych zapalów, żądania Bismarcka spotkaly się z oporem. Przystano mu ufać ślepo, choć kult jego miał wtedy jeszcze miliony zwolenników. A opozycja w izbie byla bardzo silną. Awangardę jej stanowilo 24 socyalistów, dalej szła kolumna centrum ze stu blisko ludzi złożona, której przywodzil wypróbowany mąż stanu Ludwik Windthorst, antagonista Bismarcka z czasów kulturkampfu i nieprzejednany wróg pruskiego regime'u, dalej demokratyczne mieszczaństwo reprezentowane przez 61 freisinnigerów a wreszcie 7 ludowców. Na tyłach osadzili się Polacy i protestaryusze alzaccy. Kiedy w pierwszych dnia grudnia projekt rządowy przyszedł pod obrady komisji parlamentarnej i ta zamiast zażądanego wzmocnienia siły wojskowej w czasie pokoju o 40.000 żołnierzy zgodzila się w drodze ustępstwa na powiększenie kontyngensu o 13 tysięcy i to na 3 tylko lata, kiedy następnie plenum izby zgodzilo się nawet na całą podwyżkę, odrzucając tylko septennat, a zamiast niego

wyznaczając triennat, Bismarck, któremu sekundował generał Moltke, postanowił złamać opozycję i, dokonując konstytucyjnego zamachu stanu, odwołać się do sądu narodu. Z gorączkową energią poruszył on wtedy cały swój aparat wyborczy, podbechtał i tak już wybujały szowinizm drobnego mieszczaństwa, rozpuszczał niestworzone baśnie o zbrojeniach francuskich i rosyjskich — bo i z tej strony z powodu awantur bułgarskich miała jakoby Niemcom grozić wielka wojna — i w ostatecznym rezultacie odniósł walne zwycięstwo. Układ sił w nowym parlamencie był już zgoła inny. Niemieckie mieszczaństwo skrzyło na prawo, zasiłło kosztem wolnomyślnych stronnictw narodowo-liberalny obóz, konserwatyści starego i nowego autoramentu zdobyli również kilkanaście mandatów, a cała opozycja, nie wyłączając centrum, poniosła ogromną porażkę na kilkudziesięciu swoich placówkach. Wolnomyślni i ludowcy i socjaliści najbardziej ucierpieli, pierwsi stracili 35 mandatów, czyli spadli poniżej jednej trzeciej tego, co jeszcze w 1881 roku posiadali (106), socjaliści, nad którymi ciążyły jeszcze prawa wyjątkowe stracili 13 mandatów, Polacy trzy mandaty, a ludowa partya aż do następnych wyborów zupełnie znikła z oblicza świata. Przy takim składzie parlamentu nie trudno było o większość przychylną. 227 posłów głosowało za septennatem, przeciwko 31, a centrum, ażeby nie zerwać raz już zbudowanego mostu między sobą a rządem, wstrzymało się od głosu. Socjaliści, jakeśmy powiedzieli, stracili mandaty, więcej nawet niż połowę, to prawda, ale porażka ta była tylko względna. Prawie o 50% wzrosły bowiem ich głosy w porównaniu z ostatnimi wyborami — mieli 549.990 a zdobyli 763.128 i ten właśnie przyrost głosów pozwolił im dumnie wznosić głowę, bo pozwalał moralnem zwycięstwem stokrotnie okupić klęskę mandatową. Od tego czasu zaczęli sobie przebojem torować drogę. Kiedy prawa wyjątkowe zostały zniesione, kiedy Bismarck upadł i nastał »nowy kurs«, mogli się oni popisać już półtoramilionem głosów, milionem i trzema czwartymi w 1893, aż nareszcie, w 1903 roku i ta znów cyfra niemal w dwójnasób wzrosła, a ilość mandatów równała się 81.

Okoliczności, wśród których nastąpiło w grudniu b. r. rozwiązanie parlamentu — są znane. Chodziło o kolonie afrykańskie i o nowy na nie ekspens, na który ani centrum, ani socjaliści pozwolić nie chcieli. Strach przed utratą Alzacji i Lotaryngii, zastąpiony teraz został strachem przed utratą kolonij, a odwołanie się do uczuć patryotycznych ludności było takim samem hasłem w tym okresie wyborczym, jak nim było w 1887 roku.

Dla zapatrzonego w gwiazdę wielkości Niemiec drobnego mieszczaństwa, nie istniały różnice, w każdym jednak razie były one niewielkie. Brak mu odpowiedniego krytycyzmu, ażeby zrozumieć, że co Alzacja, to

nie skrawki czarnego terytorium, co możliwość wojny nad Renem i zawierucha ogólnoeuropejska, to nie bunt kilku wsi hotentockich, co murzyński wódz Christian, to nie generał Boulanger. Tak samo jak wtedy na wyobraźnię jego podziały obrazy przygotowywane w drukarniach rządowych, które mu przed oczy przywodziły barbarzyństwa Francuzów w razie gdyby ci spadli na nieprzygotowane do wojny Niemcy, tak samo i teraz karmione podobnymi fabrykatami wzdrygało się na widok mąk zadawanych niemieckim kulturträgerom przez Hotentotów i Kafrów i szło na lep rządowy.

Ale na tem też się kończy analogia sytuacji dzisiejszej i tej z przed 20 laty. Poza tymi czynnikami bowiem taniego patriotyzmu tu i tam działającymi było dziś wiele innych przyczyn, które swój skutek wywarły. Przedewszystkiem na rachunek utraconych mandatów należy zapisać większe i skuteczniejsze tym razem zapędzanie ludzi do urn wyborczych, a z drugiej strony zniechęcenie, które wzbudziła partya ku sobie wśród mas dawniej z nią sympatyzujących. W dużym stopniu zniechęcenie to wypływało z rozwoju partyi i zaostrzających się różnic klasowych, w pewnej jednak mierze, jakeśmy to już wyżej wyrzekli sama partya przez swoją nonszalancję, przez ignorowanie sympatyków socjalizmu i absolutną wiarę w siebie zawiniła bardzo dużo. Wierzyła w zdrowy rozum niemieckiego mieszczaństwa, sądziła, że niepodobna ażeby Bülow algeciraski mógł iść w zawody z frankfurckim Bismarckiem, wierzyła w fatalistyczną konieczność zdobycia czterech milionów głosów i co najmniej 120 mandatów.

Przyczyny te, wywierając głęboki swój skutek, sprowadziły klęskę bez porównania cięższą niż w 1887 roku. Fałszywem byłoby pomimo pozornego podobieństwa, łudzić się choć przez chwilę co do tego.

Utrata 13 mandatów w 1887 roku była wynagrodzoną przez przyrost, równający się połowie dotychczasowego stanu posiadania. Dziś, szczególnie gdy uwzględnimy rozwój industrializacji Niemiec i daleko większą ilość wyborców, przyrost ćwierci miliona tj. $\frac{1}{12}$ dotychczasowych głosów wydać się musi zupełnie nieznacznym. Z drugiej strony utrata mandatów nie miała dwadzieścia lat temu tego samego znaczenia, co dzisiaj. Partya, posiadająca zaledwie 24 przedstawicieli w parlamencie, nie mogła marzyć o żadnym większym wpływie na ogólny bieg polityki swego kraju. Jako nieliczna frakcja rewolucyjna była skazaną na działalność negacyjną, krytyczną, opozycyjną. Całe zadanie jej polegało z jednej strony na tem, żeby wykazywać, że istnieje część narodu, której ideały są zgoła inne od ideałów junkrów i mieszczaństwa, a z drugiej znów, żeby stać na strażnicy interesów proletariatu, który łatwo jeszcze było wtedy krzywdzić bezkarnie.

W tej więc fazie swojego rozwoju socjalistycznej partii nie mogło jeszcze tak zależeć na przyroście mandatów jak dzisiaj, bo główny cel swój widziała jeszcze w akcyi werbowania sobie coraz to nowych zastępów wśród proletaryatu i pod tym względem mogła wtedy dumnie ogłosić swoje zwycięstwo. Dziś, gdy partya posiadała 81, a względnie 79 mandatów mogła poważnie zaważyć na szali wielkiej polityki swego kraju, dziś, gdy w razie zdobycia jeszcze większej ilości mandatów, mogła tembardziej mieć nadzieję przeprowadzenia niejednego prawa, polepszającego byt szerokich mas i zaznaczenia się w historii kultury swego narodu — strata niemal połowy swych reprezentantów i to po części najzdolniejszych, musi być odczuta jako ciężka klęska, jako klęska, która nie ma sobie równej w dziejach socjalizmu niemieckiego.

* * *

Gdy 9 lutego, po niewidzianych dotychczas w Berlinie orgiach drobnomieszczańskiego »hurra-patryotyzmu« przed oknami cesarza, Bülowa i Kronprinza, po tym niesłychanym dotychczas zakłóceniu nocnego spokoju przez poważnych i rozsądnych obywateli, przyjętym jednak wbrew wszelkim zasadom »porządku« dobrotliwymi uśmiechami i mowami dziękczynnymi, niemiecki parlament znów się zebrał po gwałtownym rozwiązaniu go 13 grudnia, konstelacja jego składników była już zgoła inną, niż przed dwoma miesiącami, inną też niż ją sobie wyobrażali socjaliści lub w swych najśmielszych snach wymarzyć mógł kartel rządowy, zaszczycony dziś trafnem mianem Hottentotenkarteln.

Po wyborach 1903 roku socjaliści wkroczyli do parlamentu z wzniesionem czołem, silni poczuciem swej wielkiej liczby i roli, którą może zdołają odegrać w przyszłej legislaturze, upojeni tryumfem niebywałego zwycięstwa i świadomością suggestywnego wrażenia, jakie wywierać musi na przeciwnikach widok ich jednolitej i zgodnej masy. Dziewiętnastego lutego weszli do parlamentu w przeredzonych szeregach, zasępieni, a miejsce dawnej radości na ich twarzach zajęło głębokie poczucie odpowiedzialności i pełne powagi skupienie, właściwe ich terażniejszej sytuacji.

A zaiste smutny a groteskowo komiczny zarazem był widok, który się ich oczom przedstawił.

Dziedzice wielkich hasła 48 roku, duchowi potomkowie Bluma, Freiligratha, Herwegha, połączeni z masą junkrów zacofanych, tak nieruchomą i niezmienną, że czyni wrażenie bryły pokrytej pleśnią, — kopulacja skrajnego obskurantyzmu z wolną myślą, oto nadzwyczajne widowisko, którem z łaski i pod wysokimi auspicjami rządu uraczyli cały świat cywilizowany wyborcy niemieccy z 1907 roku.

Dziwić się jednak temu tylko my potrafimy, prawica pod tym względem nie uważa nic za niemożliwe. Księżę Bülow marzył nawet, podobno kiedyś nietylko o skojarzeniu konserwatywnego ducha z liberalnym i demokratycznym, lecz o idealnym małżeństwie tego pierwszego z rewizjonizmem!! Dziś co prawda wyrzekł się już tej nadziei...

Nienaturalność sytuacji już się była uwidoczniła w chwili pamiętnego głosowania nad etatem kolonialnym. Nie wolnomyślnie frakcje, nie pacyfikatorzy za jakich się mają mieszczkańscy demokraci, stanęli wówczas w obronie interesów narodowych, lecz centrum się ogłosiło za takiego obrońcę, ono stanęło po stronie narodu, odmawiając potrzebnego rządowi do zamorskich awantur olbrzymiego kredytu. Gdyby dzisiejsze mieszczkańskie Niemcy posiadały naprawdę trochę ducha demokratycznego, to przecież spłonęłyby ze wstydu, że muszą iść ręką w rękę z tym samym rządem, którego zakusy reakcyjne w Prusach zdobyły sobie pogardę całej, postępowej Europy, że muszą się przyznać do wspólnoty duchowej z tym cesarzem, który tak łatwo jako zgraję, określił przedstawicieli swojego narodu.

Rola sługusa rządowego daleko bardziej licuje z zasadniczą psychiką katolickiego centrum. Jego skład gatunkowy, konieczność godzenia najsprzeczniejszych z sobą interesów, pchały zawsze centrum w objęcia rządu. Już pod koniec życia Windthorsta dokonała się w łonie tego stronnictwa ewolucja — nie powiemy na prawo, bo to byłoby nieścisle, ale ewolucja tego rodzaju, że porzuciło ono swoje nieprzejednane stanowisko i przeszło do szeregów partyj rządowych. Kiedy starły się ze sobą dwie potęce, dwie indywidualności — Wilhelm II i Bismarck — ta ewolucja centrum dokonała się już do reszty. Dokonała się do reszty nie przez to, że nowy rząd, a raczej nowy cesarz postanowił we wszystkim na opak postępować, na opak tego, co działał Bismarck, lecz, że miał w sobie tyle rozumu politycznego, ażeby stronnictwo najsilniejsze naonczas, liczące wraz z Polakami tyluż przedstawicieli, ile cały blok wiernopaństwowy — a więc konserwatyści wszystkich odcieni i national-liberałowie razem, ażeby to stronnictwo uczynić również wiernopaństwem i mieć w niem na każdą potrzebę powolne narzędzie w swoim ręku. Do polityki państwowej, zwłaszcza do polityki socjalnej nadawało się ono wówczas najlepiej. Była to tak samo jak jeszcze jest dzisiaj pstra kompozycja najprzeróżniejszych elementów społecznych, złączonych jedną tylko nicią — katolicyzmem i za drobne ustępstwa czynione kościołowi można ją było sobie kupić za każdym niemal razem.

Wprawdzie mówiono już od dawna, że pomiędzy centrum a rządem musi dojść do konfliktu, bo rząd się nosił z zamiarem dokonania zamachu stanu i obciążenia praw obywatelskich, a centrum jako stronnictwo

czerpiące swoje soki bądź co bądź w ludowych warstwach, zwłaszcza na południu, musiałyby z konieczności głosować przeciw zamachom rządowym, nie przypuszczał jednak nikt, że z okazji stosunkowo tak blącego powodu jak drobna sprawa budżetowa, nastąpi wybuch między stałymi sojusznikami. Sprzeniewierzenie się swoim silnym sojusznikom, partynom rządowym musiało też być gorzko okupione przez centrum. Wybór junkra Udoną Stolberga na prezydenta, a nie dra Spahna, to pierwsza kara, która na nie spada, to pierwsza nauka jak przykre bywają skutki zrywania przyjaźni z przedstawicielami władzy.

Rozbrat ten jednak stanowczo nie może trwać długo. Bez centrum nie można sobie wyobrazić polityki rządowej; bo jedność konserwatywno-liberalno-wolnomyślna — to fikcja w sprawach społecznych, fikcja, która się mogła zrodzić tylko w głowie Bülowa. Z jednej strony rząd dzisiejszy jasno sobie zdaje sprawę z tego, że bez centrum nie postąpi daleko naprzód, bo sojusz z demokratami już chociażby z tego względu że wśród mieszczaństwa demokratycznego i radykalnego, zwłaszcza na południu, budzi się chwilami odruch wstrętu do junkrów i przebłyski zrozumienia fałszywej sytuacji, w której się znajduje ono teraz jest niedługotrwały, a z drugiej znów strony, centrum w gruncie rzeczy przez moralną przewagę w nim chociażby takich elementów, jak szlęscy baronowie kopalniani i arystokratyczny wyższy kler, ma interesy i psychikę zbyt podobną do partij rządowych, ażeby na długo pozostać na uboczu lub być przez jakiś czas ich przeciwnikiem.

Już mowa cesarza odczytana przy otwarciu parlamentu, a nie zawierająca w sobie żadnych wycieczek w stronę centrum jest dobrym wskaźnikiem tego, jakiej polityki rząd zamierza się trzymać, a co się tyczy centrum, to widzieliśmy, że i ono pragnie załagodzić sytuację, bo zamiast swoich wybitnych przedstawicieli posłało ono na trybunę parlamentarną człowieka nowego, posła Fehrenbacha, który przyrzekł, że jeżeli centrum nie może się zgodzić na kredyt 29-milionowy, to przyobiecuje 20 milionów i nie omieszkał przy tej okazji wyrazić swojej czci dla »szlachetnych bojowników« w południowo-zachodniej Afryce.

* * *

Łupem, zdobytym na socyalistach, podzielili się rzetelnie jak na sojuszników przystało konserwatyści i mieszczańskie frakcje. One teraz urosły w pierze, zwłaszcza freisinnigerzy, którym się zdaje, iż teraz zaświeciło ich słońce, że oni teraz znajdują się u steru rządowego, tak jak im to zapowiedział kanclerz Bülow. Jak się głęboko musieli odmienić, i jak daleko musieli odejść od swych szlachetnych i światłych poprze-

dników z przed pół wieku, aby przy dzisiejszej konstelacji im się to mogło zdawać, o tem zbyt czynnem byłoby mówić.

Konserwatyści, którzy mieli w poprzedniej legislaturze 52 mandaty, zdobyli 4 nowe, narodowi liberałowie zamiast 51 posiadają 55, obiedwie frakcje wolnomyślnie zamiast 36 mają 48, wolno-konserwatywna partya rządowa zdobyła jeden mandat nowy, — ma teraz 23, antysemita, dzicy i t. d. pozostali bez zmiany: mieli 37 i tę samą liczbę teraz posiadają.

Prócz tego, jak wiemy, centrum zdobyło pięć nowych krzeseł poselskich, a koło polskie też się powiększyło o 4 członków.

Jakich czynów można się spodziewać po parlamencie w ten sposób skonstruowanym, trudno naturalnie dokładnie przewidzieć. Jednego bowiem nie powinniśmy zapominać. Ten parlament, który wyszedł z urn wyborczych, to dopiero bryła nieociosana. Pomimo pozornie skończonego układu swego i stosunków partyjnych, pomimo wyraźnych niby to konturów dwóch obozów — rządowego i antyrządowego, trudno coś stanowczego orzec co do jego przyszłego postępowania, bo pomiędzy partjami muszą nastąpić fluktuacje i oscylacje, będą miały miejsce intrygi między partjami i w łonie samych partyj i dopiero wtedy kiedy parlament wyjdzie z tego zamętu, z tego prowizoryum, w jakim się teraz znajduje, wtedy dopiero będzie mogła uwyraźnić się jego właściwa fizyognomia.

O ogólnym jednak kierunku działań obecnej legislatury można wynioskować z mowy tronowej i z mów Bülowa i leaderów partyjnych, mowach, szkicuujących w pewnych liniach drogi, po których kroczyć zamierzają w niedalekiej przyszłości rząd i główne partje.

Mowa tronowa, będąca bądź co bądź wyrazem kierunku, który pomimo silnej opozycji rządu zewnątrz i wewnątrz losami państwa pod tym względem może jest najcharakterystyczniejsza.

Jako wykończony program rządowy wystarczyć naturalnie nie może, ale jest jego dobrym szkicem i jako taki powinna być uważana. Główna treść tej mowy to powtórzenie tego, co w czasie nocnych przemówień zagrzmiało już raz z okien balkonu pałacu cesarskiego. Znów mamy tutaj te same nienawistne i szydercze wycieczki w stronę socjalistów z dodatkiem tylko kilku fałszywych perspektyw historycznych, które mają udowodnić, że wszystko, co zrobiono w Niemczech dla klasy robotniczej, zrobiono wbrew socjalistom i ich dążeniom. Co się tyczy pozytywnych działań, to poza kilkoma kolonialnymi projektami, jest zapowiedź prowadzenia w dalszym ciągu »zdrowej« polityki socjalnej, ale rąbek tej tajemniczej zasłony, co na tem polu oddziela teraźniejszość od przyszłości, zostaje uchylony dopiero przez wezwanie ducha Wilhelma I., którego taktyka i poglądy mają być miarodajnymi w tej dziedzinie. Zmartwych-

wstanie epoki Sozialistengesetzów i demagogicznej polityki Bismarcka, oto szczyty, na które się wspina teraz cesarz Wilhelm, szczyty, które dziś jeszcze spowite w lekkie mgły, z pewnością w czasie przyszłych debat zdołają uwyraźnić się na horyzoncie politycznym. Wreszcie wielkoduszne przyobiecanie złagodzenia kar za obrażenie majestatu J. C. M. — i na tem zamyka się uroczyście wygłoszony program, który ze średniowieczną pompą odczytano w Izbie.

Niechęć i absolutne niezrozumienie socjalnej demokracji bije też ze wszystkich absolutnie mów, wygłoszonych w pierwszych dniach w parlamencie. Zbytecznym byłoby tu powtarzać i kaznodziejski ton, w którym Bülow wyliczał wszystkie przestępstwa socjalistów, nazywając kary sprawiedliwą klęską, która na nich spadła, zbytecznym też byłoby tu odzwiercanie tonu chłodnej rezerwy, lub ukrytego szyderstwa, w którym inne partie mówiły o socjalnej demokracji.

Jedną jednakże rzecz musimy tutaj zaznaczyć. Niezmiernie zabawnem jest, że wszystkie bez wyjątku partie tuż obok zadowolenia z powodu porażki socjalistów wyrażają za cesarzem zdanie, że koniecznem jest prowadzenie w nowym parlamencie szeroko pomyślanej polityki socjalnej. Wygląda to tak, jak gdyby właśnie wielka ilość socjalistów w przeszłym parlamencie przeszkadzała temu.

Czy naprawdę liderzy mieszczańskich partyj są tak bezdennie naiwni, czy też jest to po prostu perfidyą ich strony, że udają, jakoby nie rozumieli, iż cała polityka socjalna zrodziła się tylko na skutek inicjatywy socjalistów, lub że strachu przed coraz bardziej wyrastającą potęgą ich partyj, czy nie pojmują oni, że jeżeli nieraz przy ostatecznem głosowaniu socjaliści odrzucali niektóre prawa, to tylko dlatego, że wydawały się im one nie wystarczające, zbyt dalekie od tego, do czego dążyli? Już oddawna kursują kolportowane przez mieszczańskich agitatorów »czarne listy« grzechów socjalistycznych, gdzie wyszczególnione są prawa odrzucone przez nich, dla ich właśnie połowiczności. Wyszczególnione jest tam między innymi prawo z 1883 o zabezpieczeniu chorych, prawo z 1884 o asekuracji od wypadków, prawo z 1889 o asekuracji na wypadek starości lub niezdolności do pracy, prawo z 1890 o sądach przemysłowych, z r. 1891 o ochronie robotniczej, z r. 1890/4 o lichwie, z r. 1896 o kodeksie cywilnym itd. itd. O tych wszystkich projektach, o tych wszystkich wotach przeciwko zamachom na wolność obywatelską, któremi zaznaczyła się działalność socjalistów w ciągu 40 lat istnienia parlamentu, najpierw północno-związkowego a następnie ogólnoniemieckiego — o tem prasa i flugblaty reakcyjne lub mieszczańskie przemilczają zupełnie.

Co się tyczy kolonialnej polityki, to partie, stojące u steru rządu,

postawiły sobie kilka określonych zadań, zgodnych zresztą z projektami rządowymi, którym nawet centrum, jakieśmy to wspomnieli, nie będzie tym razem stawiało skutecznego oporu.

Trzecim punktem zgodnym między mieszczańskimi partiami jest t. zw. Mittelstandspolitik, szczególnie dążenie do powiększenia plac urzędniczych itp. Pod tym względem i centrum przyłącza się do bloku. Poza tem jednak każda z wielkich partij przedstawia pewne różnice w swych programach i dążeniach politycznych. Pomimo wielu wspólnych cech zaczyna już w bloku występować na wierzch kilka lekkich rys, które mogą następnie z łatwością rozrosnąć się do wielkich wyłomów i przyspieszyć rozpadnięcie się tak sztucznie zbudowanego gmachu.

Tego samego dnia, kiedy Bülow nazwał fantastycznymi i pełnemi perfidyj żądania socyalistów, tegoż dnia partye wolnomyślne, dziś jeszcze rządowe, zgłosiły swoje projekty, które mają wnieść w tych dniach do parlamentu. Otóż okazało się, że żądania te są w dużym stopniu te same, które stawiała socjalna-demokracja dziesiątki lat temu. Znajdujemy tam żądanie właściwszego i sprawiedliwszego podziału okręgów wyborczych, wyznaczenie wyborów w dni świąteczne, utworzenie odpowiedzialnych ministerjów, rozszerzenia prawa o koalicjach itp. Niedługo wolnomyślne frakcye będą musiały czekać, ażeby się przekonać, że ich życzenia w dzisiejszych warunkach są nieziszczalne. Wtedy pozostanie dla nich jedna droga — skrócenie na lewo ku opozycji. To przynajmniej przepowiada wolnomyślny »Berliner Tageblatt«, grożąc dość wyraźnie kanclerzowi na wypadek, gdyby się nie zgodził zadośćuczynić tym żądaniom. Nie zgodzi — niema o to obawy. A to będzie pierwszym zwrotnym punktem w konsolidacji ugrupowań w parlamencie.

* * *

Z dwóch wielkich mów Bülowa — tego głośnego »clon« nowego Reichstagu, mów, które narobiły tyle wrzawy w prasie europejskiej, jedna jest wylaniem całej jego gorzkości na centrum, które jako partya chrześcijańska, nie powinno było mieć nic wspólnego z tą partją, »która wszystko z błotem miesza, co dla chrześcijanina jest świętem«. Zbrodnią moralną było zdaniem kanclerza, połączenie centrum z partją, która w swoim czasie wyraziła swe sympatye komunie, tej komunie, która kazała uśmiercić niewinnych dominikańskich księży. Mieszczańskie partye — dodał — powinny mieć tyle poczucia godności, ażeby nie wchodzić w sojusze z socjalną-demokracją, która w zamian niczem innym ich nie darzy, jak tylko nienawiścią. Druga mowa — to tylko skondensowany ekstrakt nienawiści i szyderstwa, którem bryznął już wprost w stronę socyalistów z dodatkiem kilku łez krokodylich nad rewizyoni-

zmem, który nie chciał skorzystać z dobrych nauk, danych mu niegdyś przez kanclerza, a teraz się zupełnie zaprzepaścił w bebelowskiej ortodoksji. Mowę swoją zakończył Bülow emfaticznym zdaniem, że nadejdzie dzień, kiedy świat cały będzie sobie przypominał ruch socjalistyczny jak człowiek, który powrócił do zdrowia i wspomina ciężką przebytą chorobę.

Między temi dwiema mowami wygłosił swoją wielką mowę August Bebel i w gorących słowach obronił swoją partyę i zachowanie się jej wobec socjalnej partyi lat dawnych. Od siebie w imieniu policyi zażądał zapewnienia prawa koalicyjnego przeciwko szykanom partyi, równego traktowania robotnika i pracodawcy, ochrony robotniczej, opieki nad strejkującymi, którzy są narażeni na gwałty łamistrejków itd. »Chcemy — powiedział — państwa, które stoi na wysokości kultury dzisiejszej, ale tak długo, jak wsteczni junkrowie rządzą w Niemczech, niema co myśleć o poważnym postępie. Pomimo to jednak posuwamy się naprzód i do nas należy przyszłość.

Cała mowa Bebla nie tchnie jednak tym nieco czupurnym młodzieńczym entuzjazmem, który cechował dawne jego wystąpienia. Czuje się w niej chwilami silenie się na humor, aby załagodzić antagonizm między jego partyą a innymi partyami, zaakcentowaną tak silnie przez jego przeciwników.

Jest to droga zupełnie fałszywa. Zamiast sztucznego łagodzenia, powinien był ostro uwydatnić swoje stanowisko i wobec projektów demagogicznej policyi rządowej obowiązkiem jego było zaznaczyć, że i na przyszłość nie wbrew socyalistom, lecz z obawy przed wielką a świadomą masą ludu rząd będzie zmuszony coraz dalej naprzód postępować.

Rewolucyjna taktyka zdaje się być dziś zupełnie wykluczoną z obozu ortodoksyjnych socyalistów. Nie chcą zrozumieć, że prestige ich może jedynie wrócić i wzrosnąć przez silne zaakcentowanie ich stanowiska rewolucyjnego, przez gorące i energiczne nawoływanie ludu do czynu. Słowa jednego z przywódców niemieckiego socyalizmu »Wir sind Revolutionäre in unseren Zielen, aber nicht in unseren Thaten« dobrze charakteryzują dzisiejszy stan umysłów w pewnej części partyi. Wielka masa jednak, potrzebuje przynajmniej od czasu do czasu jakiegoś wyładowania energii i ucieleśnienia protestu, rozpierającego jej piersi, i nic nie posiada takiej siły werbowania, jak elementarna żywotność wielkich ruchów masowych.

Jeżeli socjalistyczna partya niemiecka chce wzrosnąć w siłę i potęgę, to będzie się musiała między innymi i z tym faktem także, a może i przedewszystkiem, liczyć.

Marya Markowska.

Ecce Homo.

Otoś mię wywiódł i ukazał światu!
 I stoisz za mną, w Potędze i Moccy,
 Na marmurowych krużgankach pałacu...
 Służą ci złota fałszywi prorocy,
 Łowi spojrzenia chwalców ciżba mnoga,
 Którejś jest większy nad Słońce i Boga...
 Otoś mię wywiódł i ukazał światu...

Hej, ku mnie oczy!
 Patrzcie, patrzcie, ludzie!
 Oto mi czoło trójpot krwawy broczy,
 Otom wyczerpan jest w nadmiernym trudzie,
 Oto mi ciało wyschło w głodu męce,
 Oto mi kości zwyrodniła praca...
 Przygasły oczy... drżą bezsilne ręce...
 Oto się w mózgu wszelka myśl zatracca...
 I jeno w duszy głębi krzyk wybucha,
 Że dzieci moje... hej! rynsztok hoduje,
 Bo z izby głód je żenie i zaducha...

I przecześ wywiódł mnie — widmo rozpaczy?
 Oblicza mego szpetność chorobliwa...
 Nagość źle łachman wstrętliwy okrywa...
 Ten brud, brud nędzy, co mi ciało znaczy,
 Te oczy z głodu gorączką widomą —
 Zali nie mówią do was: *Ecce Homo!*
 To ja!... to „młodszy brat“!
 Jeno braterskość wasza mię wydała
 Na dusz spodlenie i kaźń wieczną ciała,
 W kajdany i pod bat!

Przecześ mię wywiódł!
 Otom władny, wielki
 Monarcha nędzy, niedoli, choroby...
 Otom jest kopacz ziemi-rodzicielki
 Na groby!...

Bo przez głód idę!
A dłoń ma nie chwyta
Za waszej łaski brutalną ohydę...
Jam zbrodzień, jam bandyta,
Że przez głód idę!...
Konam na ulicy...
Na mroźne bruki pada martwa głowa,
Kiedy w bolesnem oku jasność dniowa
Zagaśnie...

Przetom godzien szubienicy!

Sądzcież mię, sądzie! wyrokujcie skoro,
Bym zaś się nie stał waszych nocy zmorą!
Potwornym lękiem, co się w duszy zwiija
Jak wąż — wszelką życia moc wypija!...
Sądzcież mię, sądzie! wyrokujcie skoro,
By od płomieni, co w mych oczach gorą,
Iskry nie padły
Na prochy!

W zdeptanych tłum wybladły,
Na ognisk głównię przygasła!
By na pożaru hasło
Wszelki niewolnik nie wstał zbuntowany
W twarz wam miotając zerwane kajdany!
Sądzcież mię, sądzie! — na stryczek, na kule!...
Śmierć pszczoł roboczych nawiedziła ule...
I jest nam wszystko wzięte...

Wszystko okrom wiary.

W ten dzień słoneczny, co dziś jutrznią płonie,
W naszej idei zwycięskie sztandary
I w naszych braci pracowite dłonie,
Co chleb nam niosą!
Chleb... zblizka... zdaleka...

Cierniowa droga krwią naszą ocieka,
Naszych łez rosą...
Przedsie my żywi!
Miłością i Bólem!

Sądzcież mię! sądzie, iżem świata królem,
 Ja-Tłum, Ja-Boleść, Ja-Obdarci, Głodni!
 Iż chcę człowieka godność mieć i prawo,
 Iżem jest winien najstraszniejszej zbrodni:
 — Umiłowałem WOLNOŚĆ —
 ...Sądzcie krwawo!...

Savitri.

Kwestya narodowościowa w poglądach partyj rosyjskich.

Rozpatrując poglądy partyj rosyjskich na kwestyę narodowościową, dostrzegamy wśród nich dwa kierunki: centralistyczny i decentralistyczny. W zależności od tych kierunków kwestya narodowościowa zostaje przemilczana, lub rozstrzygnięta mniej lub więcej radykalnie. Bo stronicy obu światopoglądów rekrutują się z nader różnych sfer. Wśród centralistów widzimy całą gamę odcieni od »czarnej seciny«, do socyaldemokracji, wśród decentralistów, od kadetów do socyjalistów-rewolucjonistów.

W partyi prawdziwie rosyjskich ludzi i październikowców niema żadnej podstawy ideologicznej, któraby usprawiedliwiała i uzasadniała imperialistyczne wszechrosyjskie dążności. Jest tylko ślepy instynkt biurokratyczno-zaborczy, wyhodowany przez wiele pokoleń, jest tradycya historyczna, tocząca się na mocy prawa bezwładności przez leniwe umysły, a redukująca się do zasady stójki, nauczonego przez naczałstwo: »dzierżać i nie puszczać!« (trzymać i nie puszczać).

Jeżeli nawet zdarzają się takie fakty, jak sławny wniosek Iłowajskiego, który radził pozwolić oderwać się Polsce-buntownicy, by odciąć w ten sposób zgangrenowany członek od zdrowego ciała, to w każdym razie takie wnioski nie znajdują aprobaty wśród monarchistów i wielbieli wszechrosyjskiej potęgi.

Przechodzimy do socyaldemokratów. Tu naturalnie działają od czasu do czasu nieświadome instynkty państwowe, bo czyż mogli odrazu otrząsnąć się z nich ludzie, którym te instynkty od kołyski wpajano, którym je włączano aż do najdalszych komórek mózgu? Ale ten centralizm był tylko podatnym gruntem, na którym wybujał centralizm socjalistyczny. Zasadę tę wzięto od niemieckiej socyaldemokracji, gdzie jest ona naturalnym, zdrowym wynikiem ongi rewolucyjnych dążeń narodu niemieckiego do jedności państwowej. I w rzeczy samej, ta zdumiewająca, gdzieindziej nie napotykana jednolitość ruchu niemieckiego mogła rozwi-

nać się tylko w kraju, gdzie jednorodna masa ludności ciąży ku sobie, pragnie zlania się wbrew interesom i ambicyom kilkudziesięciu królików i książąt.

Lecz ta sama zasada, przeniesiona do Rosyi, przedstawiającej pstrą szachownicę narodowości o różnych dążnościach i właściwościach, staje się absurdem dziejowym, któremu kłam na każdym kroku zadaje życie. W Rosyi można myśleć o sojuszu wielu partyj przeciwko wspólnemu wrogowi, lecz niepodobna wszystkich potrzeb, nadziei, palących kwestyj bytu zmieścić w obrębie jedynie prawowiernej miarodajnej rosyjskiej partyi socjalno-demokratycznej, która jest dalszym ciągiem i utrwaleniem przewagi wielkorosyjskiego plemienia nad plemionami podbitego. I ta przewaga wydaje się całkiem naturalną wielu partyjnikom. Zdarzyło się nam słyszeć z ust dzielnego i wybitnego socjaldemokraty podczas dyskusji o federalizmie: »Jakto, np. taka wielka Rosya miałaby się liczyć z taką małą Armenią?«

Lecz takie odruchy leżą najzupełniej poza świadomością ludzi, w których w istocie działa najczystsza, najabstrakcyjniejsza ideowość. Z ich centralizmem trudniej jest walczyć, niż z centralizmem Plewe, Bobrikowów, Imeretyńskich. Wszak to szlachetni bojownicy o wolność! O wolność? Czasem, słuchając ich lub czytając, wydaje się, że chodzi tu nie o szczęście ludzkości, lecz o wprowadzenie najdogodniejszego systemu produkcji, wydaje się, że mamy przed sobą steoretyzowanych pedagogów, którzy chcą koniecznie wychować ludzkość podług umiłowanego szablonu, choćby drogą przymusu, choćby drogą łamania i tępienia w człowieku tego, co chce żyć.

Socjaldemokratyczny pogląd na kwestye narodowościowe pozostaje w najściślejszym związku z ogólną ideologią partyi. To już nie cześć dla Marxa (Marx np. uznawał postulat niepodległości Polski), to jakiś całkiem swoisty ultra-marksizm. Kładąc ogromny nacisk na moment najwyższego rozwoju produkcji kapitalistycznej, bez którego ma być niemożliwem przejście do ustroju socjalistycznego, s. d-ci podporządkowują wszystkie inne strony życia temu rozwojowi. A dla rozwoju kapitalizmu, dla ułatwienia obiegu towarów potrzebny jest jednolity obszar państwowy — wiec wszelkie ruchy odśrodkowe, autonomiczne, federalistyczne, niepodległościowe, sprzyjające wybudowaniu cech odrębnych, indywidualnych, zostają bez bliższej analizy napiętnowane nazwą »szowinizmu«, »nacyonalizmu«.

Fakty z życia narodowości państwa rosyjskiego albo zostają przemilczane, albo komentowane, jako zdrada proletaryatu przez patryotyczną demokrację. Jeszcze podczas wojny japońskiej pisała w ten sposób »Iskra« o gruzińskich frakcyach rewolucyjnych, które na konferencji

w Genewie uchwałyły rezolucję przeciwko socyaldemokracji, rezolucję, w której między inn. czytamy: »R. S. D. R. P. skrępowana dogmatem, z jednej strony jest przesiąknięta szowinizmem, z drugiej — pozostała w tyle za ruchem rewolucyjnym, paraliżując wszelkie czynne dążenia do wolności«. »Iskra« naturalnie sypie, jak z rogu obfitości, utartymi frazesami o drobnomieszczañstwie, burżuazyjności i oznajmia, że jedyne ramy, które należy wybrać dla organizacji politycznej walki proletaryatu są to ramy współczesnego państwa scentralizowanego, stworzone przez historyczny rozwój społeczeństwa, który, jak każdy fakt spełniony, każe nam uznać teorya materializmu dziejowego i nasze deterministyczne sumienie.

Dalej »Iskra« podkreśla znaczenie scentralizowanej partii, dowodząc, że nacisk, wywierany przez centrum nie pozwala poszczególnym częściom partii wpaść w oportunizm. Gdyby socyaldemokracja Wszech-Rosyi była tą kierowniczką, obejmującą wszystkie partye, zapewne rewolucya w Polsce wyglądałaby inaczej! Zapewne nasz »oportunizm« nie mógłby zdobyć tak wiele dla proletaryatu i zadać tyle ciosów caratowi, powstrzymany przez ostrożny komitet centralny zapędzany do Dumy, jak obecna wasalka wszechrosyjska, S. D. K. P. i L., która bardzo szybko przebyła proces lojalnej identyfikacji.

Niemniej charakterystyczne jest wystąpienie wobec Ormiańskiej Rewol. Federacji »Dasznakcutiun«, która podczas rzezi tatarskich wydała pisaną krwią i łzami odezwę do rewolucyjnych partij Rosyi. Wówczas rosyjskie pismo »Socyaldemokrata« i jego wiernopoddańcze echo, gruziński »Socyaldemokrata«, tłómaczyły, że winni tu sami Ormianie, dlatego, że wystawiali hasła narodowe, które rozdmuchały nienawiść rasową. Oba pisma obiecywały »walczyć bezustannie z nacyonalizmem i wyćpić go doszczętnie!«

Takie tendencyjne i fałszywe objaśnienie krwawych zajęć na Kaukazie wywołało oburzenie innych partij, nieuważających dążeń narodowych za zdradę socyalizmu. Z innych źródeł dowiadujemy się, że rzezie Ormian były dokonane przez ciemną masę tatarską, która nie dorosła do hasel narodowych i nigdy ich nie wystawiała, że miały za podkład jedynie fanatyzm religijny i chęć rabunku, podnieconą przez władze, dość, że zabarwienie tatarskich okrucieństw, było takie samo, jak pogromów żydów i rewolucjonistów przez czarne sotnie.

I oto partya socyalistyczna wygłasza: »Winni są Ormianie, ponieważ wystawili hasła narodowe«. Bardzo na rękę rządowi...

Temi samemi słowami »szowinizm«, »nacyonalizm« piętnowała Socyaldemokracja Ormiańskich Rew. Fed. przy innej sposobności, orzekając, że jest to partya najbardziej reakcyjna i pozbawiona zasad. Nie za-

wahała się »Iskra« rzucić tych słów na długą straszną martyrologię ormiańskiego ludu, któremu chodziło już nie o samodzielność, lecz o to, by ostać się i żyć wobec tureckich i kurdejskich napadów, wobec cynicznych oświadczeń rosyjskiej dyplomacji, że potrzebna jej Armenia, ale bez Ormian.

Wobec takiego nieprzejednanego stanowiska, zacietrzewionego centralizmu, zaciemniającego właściwe pojmowanie rzeczy, każącego przeczać kwestye bojące i krzyczące o rozwiązanie, dla Socyaldemokracji stał się niemożliwym sojusz z każdą partją, która pozostawia jakiś cień samoistnych dążeń. Najlepiej tego dowodzi rozłam z »Bundem« na 2-im zjeździe S. D. R. P. R. Warto zaznaczyć, że na tym zjeździe wniosek Bundowców o równouprawnieniu wszystkich języków miejscowych z językiem państwowym spotkał się tylko z obraźliwymi drwinami.

Mamy i świeży dowód. Podług komunikatu »Volkszeitung« (organ »Bundu«), Ukraińska S. D. partya »Spiłka« zwracała się do C. K. rosyjskiej S. D. z projektem zjednoczenia, na podstawie którego U. S. D. P. ma wejść w skład ros. S. D. i jej organizacyj terytoryalnych, zrzekając się nazwy »partyi« a przybierając nową nazwę po porozumieniu się centr. komitetu S. D. R. z centr. komitetem »Spiłki«. Zarząd »Spiłki« ma zachować własne zdanie o autonomii Ukrainy, przyjmując zarazem całkowity program S. D. Posłowie Ukr. P. w Dumie wchodzą do dumskiej frakcyi S. D. na ogólnych zasadach, t. j. na takich samych, na jakich wchodzą do niej wszyscy członkowie partyi: U. S. D. P., zastrzega sobie prawo zwoływania konferencyi w kwestyi autonomii Ukrainy, posiadania własnego organu wykonawczego, wybranego na tych konferencyach, oraz przyjmowania udziału w zjazdach międzynarodowych przez swego delegata w ogólnej delegacyi S. D. P. R.

Nie zważając na zredukowanie do minimum samodzielności »Spiłki«, Socyaldemokracja odrzuciła tę propozycję, trzykrotnie ponawianą w coraz to skromniejszym tonie, zastrzegając się, że zrobiła wyjątek tylko dla »Bundu« i to, podług rezolucyi zjazdu zjednoczenia, jedynie po to, aby w normalniejszych warunkach zwalczać zasadę organizacyi podług narodowości.

Ponieważ dogmat socyaldemokratyczny nie ulega żadnym wahaniom, żadnym lokalnym przystosowaniom, żadnej krytyce, więc cała praca doktrynerów partyi wyteęza się w kierunku zagadnień organizacyjnych. Biuletyny zjazdów są przepelnione sporami co do chińskiej formalistyki, co do surowej hierarchiczności w stosunku centr. komitetów do miejscowych i t. d. Gdzież ten żywy, płomienny duch, który rwie przegrody, by zjednoczyć wszystkie dłonie w jednym potężnym porywie walki?

Myliłby się każdy, ktoby przypuszczał, że interes chwili poważnej,

nie dające się lekceważyć stanowisko innej partji, albo inne kombinacje są w stanie zmusić S. D. — do porozumienia z »heretyckimi« w ich rozumieniu partjami. Są to fanatycy, ślepo wierzący w swą nieomylność, w zbawienie ludzkości drogą socyaldemokratyczną.

Przechodząc do partji decentralistycznych, spotykamy kadetów, którzy przewyższyli radykalnością zjednoczone s. d. Polski i Rosji, chcące dać Polsce zaledwie samorząd administracyjny, gdy tymczasem kadeci zgadzają się na decentralizację prawodawczą (uchwała zjazdu 14 września 1905 r.). Prawno-państwowy światopogląd kadetów każe im szukać oparcia dla praw narodowych w tradycjach historycznych, stopniować wyrobienie, długotrwałość, kulturalność, odrębność i t. d. różnych narodowości. Argumentem na korzyść Polski jest dla nich konstytucya Kongresówki. Lecz uznając zasadniczo słuszność autonomii dla narodowości Rosji, kadeci nie przestają być dyplomatami — politykami, którzy, jakkolwiek dziś opozycyjni, lada dzień przejdą na stopę legalną i już czują pod sobą fotele ministeryalne. Jako istotni dyplomaci, dadzą tylko tam, gdzie dać koniecznie trzeba. Na zjeździe polsko-rosyjskim w 1905 r. przedstawiciele partji polskich mieli ciężką przeprawę z pp. Milukowem, Szczapowem i t. d. Decydujące znaczenie ma nie wartość legitymacyi narodowej, lecz owo sławne Lassalle'owskie ustosunkowanie sił, na mocy którego otrzymuje pożądanę ustępstwa ten, kto jest siłą faktyczną.

Nie omieszkali kadeci zagwarantować sobie pomocy grup narodowych. Zastrzegli się, że kwestya autonomii dzielnicowej nie może być rozstrzygnięta przed uzyskaniem swobód konstytucyjnych dla całego państwa. Żadna grupa nie powinna warunkować postulatów autonomii swego udziału w ogólnej pracy wolnościowej, np. w formie bojkotu wyborów do wszechrosyjskiego parlamentu aż do otrzymania autonomii, albo w formie żądania zwołania miejscowych konstytuansów równoległe do konstytuansu ogólnopolskiego. »Ręka rękę myje«. Trzebaż jakkolwiek zagwarantować sobie poparcie »kresów«.

Od tej ministeryalnej mądrości, zawsze mającej na oku interes, całość, jedność państwa młodzieńczo-rewolucyjnie odbija pogląd socjalistów-rewolucjonistów.

Dla nich nie mają znaczenia historyczne prawa, kombinacje celne i fiskalne, to wszystko, co tak głęboko zaprzęta kadetów. Na zjeździe s.-r. podnoszono te wszystkie argumenty w debatach nad kwestyą narodowościową. Mówiono, że oderwanie się niektórych narodowości pociągnie za sobą wyznaczenie nowych granic celnych, co wpłynie ujemnie na interes mas pracujących, że wyodrębnienie np. Kaukazu z jego olbrzymim przemysłem naftowym w Baku będzie szkodliwym dla całego państwa.

Podnoszono również te same zarzuty, które wypowiadali kadeci, a mianowicie, że w niektórych krajach zabranych, n. p. w Polsce, może być takie ustosunkowanie sił reakcyjnych rewolucyjnych, że cały ruch socjalny po usamodzielnieniu danego kraju może zostać zdławionym przez warstwy uprzywilejowane, a wtedy ogólnoludzki interes dyktowałby socyalistom rosyjskim konieczność przymusowej interwencji, bo masy pracujące miałyby żal do nich, że je wydano na łup eksploatatorów!

Lecz zarzuty te stanowczo odparto jednym pewnikiem, że żadne reformy nie przynoszą ludowi korzyści, jeżeli wprowadzone są przymusowo, obcą, najeźdźczą ręką. Żaden gwałt zasiany na glebie życia narodowego nie da pożądanego plonu. Posuwać naprzód polityczne życie kraju może jedynie świadomość, choćby to była świadomość tylko czynnej mniejszości — lecz w każdym razie mniejszości własnej — wyrosłej z głębin narodu.

I w projekcie programu, zatwierdzonym przez zjazd, pozostało uchwalone ogromną większością głosów nieograniczone prawo każdego narodu do stanowienia o swoim losie.

Uchwaliwszy to prawo w imię sprawiedliwości nietylko dla narodów o wysokiej kulturze i wielkiej przeszłości dziejowej, lecz i dla narodowości ledwo rodzących się, mających za sobą nie tradycje, lecz młodą wolę rozwoju i życia, socjaliści-rewolucyoniści w zasadzie uznali za pożądane zjednoczenie się narodów w imię wszechrosyjskiej idei. Lecz zjednoczenie to powinno być wyrazem wolnej woli ludów, nie zaś hierarchicznego podporządkowania się jednego narodu drugiemu, a formą tego zjednoczenia ma być samorzutna, nieskrępowana niczem federacja (nie ta federacja naszej Frakcji Umiarkowanej, która miała być tylko złączeniem podległości)

Ale federacji tej s. r. nikomu nie chcą narzucać. Nieraz na łamach »Rewolucyjnej Rosyi« i innych wydawnictw wypowiadali oni myśl, którą po raz pierwszy sformułował A. Herten w swym »Kołokole«:

»Związek federalny musi być wolnym darem, Rosya nie ma prawa do Polski; ona powinna zagładzić to, cośmy zrobili jej rękami; i jeżeli Polska nie chce tego związku, możemy smuć się, nie zgadzać się z nią, lecz sprzeciwiać się jej woli nie możemy, nie wyrzekając się wszystkich naszych przekonań«...

I oto staje się dla nas wyraźnem oblicze soc.-rewolucjonistów, etyków, uznających kształtowanie życia przez czynniki psychologiczne w przeciwstawieniu do tych ludzi, którzy uznają tylko martwy mechanizm spełnionych faktów. Dlatego tak ważną dla nich jest kultura, która może być tylko narodową, dlatego ta kultura, rozszerzająca i pogłębiająca ludzką

indywidualność, ma być jednym z warunków dla wcielenia w życie socjalizmu.

O ile socyaldemokraci są fanatycznymi zwolennikami idei jednności, o tyle s.-r. są niemniej fanatycznymi zwolennikami idei swobody. W artykułach E. Breszkowskiej i in. nieraz podkreślano, że dwa te pojęcia nie są jednoznaczne. Kiedy chodzi o ideę swobody, sprawiedliwości, wtedy wszystkie kombinacje praktyczne idą na bok i ideowość nie pozwala im zapomnieć, że są socyjalistami, że nie wolno im postąpić inaczej.

Przez ich usta młoda rewolucyjna Rosya mówi do nas, że się wyrzeka zaborczego dzieła caratu, że chce rękami rosyjskiego pracującego ludu krzywdę wieków naprawić

Via.

Wieści z Zaboru pruskiego.

»Norddeutsche Allg. Ztg.«, urzędowy organ Kanclerza, ogłosiła mniej więcej przed miesiącem artykuł w sprawie antypolskiej polityki rządu pruskiego. Było tam dość cyfr i dowodów, mających przekonać wszelkich »Schwarzseher'ów« (wyrażenie Wilhelma) a także »wrogów« wewnątrznych i zagranicznych, że polityka owa nietylko nie grozi bankructwem, ale przeciwnie, »przy konsekwentnem dalszem jej prowadzeniu będzie miała powodzenie. Komisya kolonizacyjna, czytamy dalej, obecnie osiedliła znowu 32 mile kwadratowe ziemi i że na nich stworzyła nie mniej jak 12,415 nowych gospodarstw włościańskich, w 315 nowych wsiach. Wsie te, łącznie z zajętemi tam 5,000 niemieckich rodzin robotniczych, tworzą ludność niemiecką, w liczbie 96,000 mieszkańców, których należy policzyć jako zysk niemieckości.«

Artykuł, podając owe gromkie cyfry, przemilcza jednak zupełnie rzecz niezmiernie ważną: ile mianowicie z świeżo na ziemiach Komisji osiedlonych Niemców przybyło do Księstwa, a ile już dawniej tam mieszkało. Nie można również brać poważnie liczb, wyrażających stosunek dwu żywiołów — polskiego i niemieckiego w życiu publicznem. Przewaga Niemców w sejmie prowincjonalnym, sejmikach powiatowych, izbach rolniczych i izbach rzemieślniczych nie jest żadnym dowodem siły i wzrostu niemczyzny, ale wymownym rezultatem systematycznego upośledzania Polaków na korzyść Niemców. Artykuł robi wrażenie słodzenia bardzo niesmacznej pigułki. Rzeczywiście, po ośmiu latach pracy, po wydaniu milionów, tem tylko się pocieszać, że »jeżeli się na tej drodze uda trwale wzmocnić ludność niemiecką, to twierdzenie jako polityka polska rządu uczyniła fiasco, ostatecznie zamilknie.« A więc jeżeli... Syzyfowe pracel

Piękne wywody »Nordd. Allg. Ztg.« nie mogły, niestety, przesłonić tego, co bije ze sprawozdania Komisji kolonizacyjnej za rok ubiegły. Jest to właśnie »fiasko«. Podaję najznamiennejsze cyfry z memoriału, przedłożonego izbie posłów sejmowi pruskiego.

Oferta wobec Komisji wynosiła w r. 1903 — własności (większych i mniejszych) 509 z 229,822 ha; w r. 1904 — 447 z 197,612 ha; w roku 1905 — 325 z 115,053 ha; w r. zaś 1906 — 368 z 102,464 ha.

Memoriał sam z bólem zaznacza, że przeciętna wielkość zaoferowanych własności stale się zmniejsza, że w ostatnim czasie Komisji stale stawiano do dyspozycji własności o rozmiarach 100 do 250 ha. Wzmagającą się ofertę własności włościańskiej nawet memoriał Komisji nazywa objawem »niepokojącym.«

A niepokoić on musi Niemców tem bardziej, że z pomiędzy zakupionych własności tylko 7 majątków — w tem 2 dobra rycerskie oraz 39 gospodarstw włościańskich — znajdowało się w rękach polskich; obszar ich wynosił 3030 ha, czyli tylko 10,2 procent całej zakupionej przez Komisję ziemi, t. zn. 29,670 ha.

Za ziemię polską zapłaciła Komisya 5,037.000 mk., za niemiecką 37,177,000 mk., czyli razem 42,214.000 mk.

Na cały przez Komisję zakupiony teren złożyło się: 21 dóbr rycerskich, 50 częścią większych, częścią mniejszych własności, oraz 96 gospodarstw włościańskich, oprócz tego 2 domeny państwowe.

Ceny, które Komisya płaciła, podskoczyły szalenie, — a mianowicie 1007 mk. za hektar w r. 1903; 1024 mk. w r. 1904; 1184 mk. w r. 1905; co w roku ubiegłym już 1419 mk.

Liczba rodzin kolonistów wynosiła przy końcu roku ubiegłego 1748, podczas gdy przy końcu 1905 roku było ich 1546.

Finanse: rozchód ogólny (od r. 1886 aż do końca 1906) wynosił 444 miliony, ogólny dochód 107 milionów, przeto czysty rozchód 337 milionów.

Cyfry te mówią nam, że Komisya nie spełnia dwóch najważniejszych zadań: nie pozbawia społeczeństwa polskiego ziemi w tem szybkim tempie, o jakim marzył jej twórca; nie powiększa szeregów drobnych niemieckich właścicieli. Przeciż w porównaniu z tem, co było w r. 1886, kompetencya Komisji została niezmiernie rozszerzona, a jednak faktyczny zakres jej działalności wciąż się ścieśnia. Procent ziemi, wykupionej z rąk polskich, wynosi w roku ubiegłym zaledwie 10,2, czyli 3030 ha. Zestawivszy tę ilość z ilością ziemi, wykupionej przez Polaków z rąk niemieckich, musimy dojść do wniosku, że jedynym rezultatem prac Komisji jest niewzmaganie się polskiego stanu posiadania. Co zaś do powiększania ilości drobnych gospodarstw niemieckich, memoriał stwierdza właśnie

»zastraszący« wzrost ofert, czynionych Komisji przez niemieckich drobnych właścicieli. Osiągnęła też Komisja cel, wręcz jej planom przeciwny: niebywałą wysokość cen ziemi i rozwielenienie się geszefciarstwa »nie-narodowego« w obozie niemieckim. Bo wobec wygórowanych cen ziemi rośnie wciąż podaż ziemi niemieckiej.

Podczas gdy stosunek ziemi niemieckiej i ziemi polskiej, nabytej przez Komisję od r. 1886 do końca r. 1906, wynosi 67,8 (221,150 ha za 211 milion. mk) do 32,2 (104,840 ha za 81, 6 milion. mk.) wynosi także stosunek procentowy w samym ostatnim roku 89,8 (26640 ha za 37,177 milion.) do 10,2 (3030 ha za 5,037 milionów).

Zatem sukcesy Komisji nie przedstawiają się nadzwyczajnie. »Praca kulturalna,« zrodzona z najdzikszych, najbrutalniejszych popędów, zawodzi. Trzeba więc nowych środków i sposobów. Ponieważ, według spisu z r. 1903, ogólna liczba ludności w prowincjach polskich wynosi 3,628.383, zaś na Niemców przypada z tego 1,450.000, przeto Komisja musi pozyskać »zdrową podstawę«, by praca jej w przyszłości owocną była. A więc przedewszystkiem przewaga liczebna kolonistów niemieckich nad ludnością polską. Wyłaniają się tedy dwa projekty, które, jak zapewnia prasa, mają być wniesione do sejmku pruskiego jeszcze przed Wielkanocą. A więc: przyznanie dla Komisji kolonizacyjnej dodatkowego kredytu w sumie kilku milionów marek, nowa ustawa wyjątkowa przeciw Polakom — przymusowe wywłaszczenie gruntów, pozostających w rękach polskich! Ten potworny pomysł rządu pruskiego jakoby (tak piszą Hamburger Nachrichten) nie przekroczył jeszcze murów ministerium, niema jeszcze zgody co do ewentualnych jego rozmiarów. »Berliner Tageblatt« donosił niedawno, że rządowi chodzi o przyznanie Komisji prawa pierwszeństwa kupna w stosunku do całej własności ziemskiej polskiej, a także o przyznanie prawa wywłaszczenia wobec zbyt wygórowanych żądań ze strony sprzedających. Faktem jest, że do tej pory prasa nic ściśle określonego nie podaje. Rokowania rządu z konserwatystami w sprawie owego projektu idą podobno bardzo opornie, szczególnie właśnie rozbija się wszystko o ten drugi punkt, o prawo wywłaszczania. Agraryusze niemieccy nie zapalają się wcale do planu rozszerzenia zakresu działania Komisji kolonizacyjnej, tembardziej, że plan ten pociągnąłby za sobą spadek cen ziemi. Nawet niemiecki »patryotyzm« zaczyna śpiewać z innego tonu, gdy chodzi — o kieszeń. Bardzo znamienity przyczynek do tego »agrarnego« nastroju znajdujemy w »Posener Tageblatt«. Przemawia tam pan Tschuschke z Babina. Uniewinnia on najprzód p. Süverna, który swój majątek sprzedał, jak wiadomo, hr. Mielżyńskiemu z Iwna. Pan Süvern zażądał 440 tys.; Komisja kolonizacyjna utargowała 20 tys., oświadczając, że da odpowiedź 31 stycznia; odpowiedzi tej Komisja

w oznaczonym terminie nie dała, dopiero 1 lutego oświadczyła gotowość zapłacenia powyższej sumy; a ponieważ tymczasem hr. Mielżyński zaofiarował 460 tys., przeto — jak pisze dosłownie p. Tschuschke — »żaden sprawiedliwy Niemiec nie może po tem, co zaszło, wziąć p. Süvernowi za złe, że teraz nie chciał zrobić tak wielkiej narodowej ofiary, lecz ostatecznie pierwszeństwo przyznał interesowi swojej rodziny«.

Następnie p. Tschuschke nazywa projekt prawa wywłaszczenia projektem socjalistycznym, mającym Komisji nadać ni mniej, ni więcej, jak prawo konfiskaty. Ceny ziemi musiałyby wkrótce spaść na poziom z przed lat 15 do 20. Obecnie może każdy właściciel sprzedać ziemię za stosownem wynagrodzeniem; pod panowaniem prawa wywłaszczenia ustanie wszelka konkurencja. Ustawa ma ugodzić w Polaków, a w rzeczy samej bije we wszystkich Niemców, którzy w ciągu dziesiątków lat bez pomocy państwowej i bez koneksji prowincję kolonizowali i germanizowali. Jeżeli względy państwowe wymagają dostarczenia prowincji większej liczby kolonistów, natenczas należy uchwalić na rzecz Komisji dalsze fundusze do nabywania dóbr, nie zaś ustawy wyjątkowe. Dotąd wzmocniano i ratowano pozycję Polaków przez przyznanie im wysokich cen; niech się obecnie tę samą zasadę stosuje wobec Niemców.

To się nazywa szczerze i otwarcie. Nie należy przesądzać, jak skończy się targ z agraryuszami o polską skórę, czy projekt zostanie złagodzone, czy też nie — to jedno widzimy wszyscy: w Zaborze pruskim walka idzie na śmierć i życie. A póki rolę przewodnią odgrywać będą »panowie magnaci« i tchórzliwi przedstawiciele burżuazyi, pasowani na »obrońców ludu«, póki zmora »legalności« nie przestanie dusić i wypaczać najszlachetniejszych porywów ludowych, póki wreszcie oczy wciąż zwracać się będą na Rzym — krzyżacka pięść i krzyżacki bat hulać będą po dawnemu. Gdy w sejmie i parlamencie słyszy się na skargi i żądania Polaków odpowiedzi wprost cyniczne i łajdackie, gdy rząd knuje zamachy, urągające wszelkim pojęciom prawa, nie czas już na »mowy«, ale na bardziej »mocne« argumenty... Różnych panów landratów, sędziów, znęcających się nauczycieli »przekonują« nie krzyki i pogróżki oburzonych kobiet, nie operetkowe procesy — ale pięść! Miła niemieckim »patryotom« kieszeń, ale podobno miłe i kości... Z bijącym własną jego bronią walczyć należy, a wtedy zobaczymy...

Przegląd prasy socjalistycznej.

(Prasa niemiecka).

Zupełnie zrozumiałem jest, że w prasie niemieckiej w ostatnich paru tygodniach, wszelkie kwestye musiały zmaleć wobec ogromu klęski wyborczej i że tej kwestyi najwięcej się tam dziś poświęca miejsca. Najwybitniejsi przedstawiciele socjalizmu niemieckiego zabrali w niej głos, a że spoglądać na nią musieli przez pryzmat swoich własnych przekonań, przez pryzmat tego kierunku, który reprezentują, więc tem ciekawsze są właśnie ich wywody, analizy i horoskopy na przyszłość. Przytaczamy tu naturalnie zdania i sądy najbardziej znamienne, a przedewszystkiem te, które się odznaczają najsumienniejszą analizą, najgłębszem ujęciem rzeczy.

W przeszłym zeszycie »Neue Zeit«, który się ukazał po 25 stycznia, zabrał zaraz głos Karol Kautsky (18 — d. 2/2). Trafnem jest bardzo jego spostrzeżenie, że to właśnie wielkie zainteresowanie się jaknajdalszych mas ostatnimi wyborami, to przypuszczenie, że socjaliści mogą nie tylko zatrzymać wszystkie swoje mandaty, ale jeszcze zdobyć nowe, tłumaczy jaknajlepiej udział w wyborach tych olbrzymich gromad wyborców, które się zwykle zdala trzymają od wszelkiej polityki«. Tego strachu ze strony burżuazji, w tym stopniu przynajmniej myśmy nie przypuszczali, nie doceniali go. Z drugiej strony nie docenialiśmy atrakcyjnej siły, jaką posiadała idea kolonialna, gdy jej użyto za nagankę w celu przysporzenia mas wyborczych rządowemu kartelowi«.

»Im mniej zadawalniające i im zawilsze są stosunki we własnym domu, z tem większą tęsknotą mieszczańskie żywioły wielkich mocarstw kapitalistycznych spoglądają w stronę kolonij. Bez programu na przyszłość ostatecznie żadna partya istnieć nie może, każda musi pokazać jakiś cel, który jest godzien pracy i wysiłków, jeżeli chce gromadzić szersze masy, pod swoim sztandarem. Im trudniej mieszczańskim partyom wytknąć taki cel we własnem państwie, tem bardziej muszą dążyć do stworzenia go w swych koloniach, będących także własną ziemią, ale ziemią nową jeszcze i niezbadaną, w którą można włożyć niezmierzone nadzieje«.

Szczególnie naznaczenie Dernburga, którego imię nie było związane z dotychczasową źle prowadzoną gospodarką kolonialną, było bardzo mądrym krokiem ze strony rządu. Nie mając jeszcze żadnej politycznej przeszłości, miał Dernburg możność rokowania przyszłości w świetnych barwach przekonywania sceptyków, że tylko brak ludzi i środków staje na przeszkodzie rozwojowi wymarzonego państwa przyszłości w Koloniach. Malowanie obrazów takimi barwami musiało fascynująco podziałać na te nawet masy mieszczańskie, które ekonomicznie nie są zainteresowane w rozwoju Kolonij. Strach przed nadejściem państwa socjalistycznego,

a pragnienie szybkiego stworzenia państwa kolonialnego tłómaczy też wielki wzrost mieszczańskich mandatów.

»Dlaczego jednak z drugiej strony tym dwom pobudkom nie potrafiły przeciwdziałać nasze argumenty, przedewszystkiem zaś wzrastająca drożyzna na wszystkich polach, przeciwko której walczyliśmy bezustannie. W r. 1903 wielka ilość naszych głosów pochodziła ze sfery małomieszczańskiej, drobnourzędniczej i nawet chłopskiej; wśród tych sfer zdołaliśmy sobie zdobyć na skutek walki naszej przeciwko cłom zbożowym pokaźny zastęp zwolenników. Zdawałoby się, że ten argument powinien być w dalszym ciągu działać. Co się tyczy chłopów, wypadek bardzo szczęśliwy — urodzaj zeszłoroczny — zrządził, że głosy te od nas odpadły. Na skutek urodzaju, pomimo wysokich ceł zbożowych cena zboża jednak bardzo mało wzrosła. Wobec tego, że drobni właściciele ziemscy przeważnie nie tylko nie sprzedają zboża, ale jeszcze muszą dokupować, więc też ucierpieli w tym roku tylko w drobnej mierze z powodu ceł zbożowych, a natomiast skorzystali wiele z podwyższenia się cen produktów innych — mleka, masła, drobiu, — w ten sposób zapał przeciwko cłom bardzo ostygł w tej klasie. Co prawda nowy system cłowy odbija się i na cenach innych przedmiotów, ale chłop, jak i drobny urzędnik nie mogą dojrzeć w tem rzeczywistych przyczyn. Nie mają oni pojęcia o tem, że prócz tego ceny są jeszcze sztucznie podnoszone przez kartele, najlepiej się rozwijające pod osłoną ceł ochronnych, a winią robotników i organizowane walki o lepszą płacę, które otwarcie propaguje socjalizm. Tamtych aktów karteli, bo się odbywają potajemnie nie widzą — ta znów walka jest jawną, wpada sama w oczy. Nie mają pojęcia, że ta ostatnia jest w dużym stopniu i musi być logicznym skutkiem tej pierwszej. Oczywiście, że na konto socyalnej-demokracji piszą się w takich wypadkach wszystkie źródła nieszczęść, a nawet chwilowych dolegliwości.

»W 1903 r. zarówno chłopci jak i drobni urzędnicy i drobni rzemieślnicy głosowali za nami, bo uważali nas za walczących o niskie ceny surowego materyału i środków żywności, dziś podnoszą się przeciwko nam, bo sądzą, że propaganda walki klasowej wywołuje walkę o lepszą płacę i w ten sposób podnosi cenę towarów. Szczególnie rzemieślnicy nienawidzą socyalistów, bo nie tylko oskarżają ich o podnoszenie cen mieszkań, surowca i t. d., lecz, że czują się osobiście skrzywdzeni, gdy ich własni czeladnicy domagają się podwyżek, a drobni kupcy znów mają pretensye o organizowanie konsumów«....

...»W ten sposób nowe cła jako naturalny skutek przyniosły zaostrenie się i uwyrażnienie różnic klasowych, nietylko między kapitalistą a robotnikiem, lecz i między robotnikiem a drobnym mieszczaninem, który dawniej znajdował najlepszą swą reprezentację w socyalnej-demokracji,

w partyi przeciwdziałającej militaryzmowi, wysokiemu i niesprawiedliwemu opodatkowaniu, a który dzisiaj na skutek walki o płacę odczuwa wyraźnie zupełnie swój antagonizm z robotnikiem i odwraca się od naszej partyi.

...»Jeżeli te założenia są prawdziwemi, to śmiało możemy powiedzieć, że nastąpiła teraz eliminacja drobno-mieszczańskich elementów i że nasze kadry wyborcze oczyściły się i mają teraz wyłącznie proletaryacko-klasowy charakter. Bez najmniejszej wątpliwości proletaryat od 1903 roku wzmógł się na siłach, a dowodem tego przyrost związków zawodowych, organizacji politycznych, czytelnictwa. Jeżeli ten rozwój nie mógł być inaczej okupiony, jak stratą kilkuset tysięcy sympatyków ze średnich sfer, w takim razie nie okupiliśmy go zbyt drogą stratą...

»Jakkolwiek bardzo wysoko cenimy pracę parlamentarną, uważamy ją jednak za środek tylko do celu. Jeżeli na razie działalność syndykalna skuteczniejszą się staje, a parlamentarna się osłabia i tracimy sympatyków i mandaty, to jest to oczywiście nieco nieprzyjemne, ale nie jest bynajmniej nieszczęściem, bo to będzie jednym tylko z objawów fizyologicznego procesu rozwijania się partyi. Z drugiej strony, na rozmaite tryumfy kartelu mieszczańskiego możemy odpowiedzieć, że udało nam się zdobyć na czysto $\frac{1}{4}$ miliona nowych głosów, a wobec tego, że odpadło nam prawdopodobnie tyleż z pośród pośrednich warstw, więc zarobek wynosi akurat pół miliona. Co prawda, industrializacja Niemiec w stosunku do tego postąpiła znacznie naprzód, ale myśmy z niej nie korzystali, bo przeciwdziałali temu kapitaliści, ściągając cudzoziemców nieposiadających prawa wyborczego, albo też katolików i Polaków zupełnie niewyrobionych politycznie. Na przyszłość co prawda może być z tego skutek pożądanym, bo przybysze z obcych stron zanoszą ewangelię socjalizmu do swoich, na razie jednak przyplływ silny wstecznych lub nieświadomych żywiołów był wielkim hamulcem nietylko dla partyi, ale i dla syndykalnego rozwoju klasy pracującej«.

...»Gdy to wszystko uwzględnimy, to się okaże, że chociaż sytuacja nasza nie jest tak świetną, jak przypuszczaliśmy przystępując do kampanii wyborczej, to jednak nie jest ona znów tak niekorzystną, jak się to na pierwszy rzut oka wydaje. Na przyszłość mamy zapewnione olbrzymie warstwy proletaryackie, które dziś zasilają kapitalizm i centrum, a z drugiej strony można przypuszczać, że małowieszczańskie sfery wytrzeźwieją i wrócą do nas, bo my je jedni możemy obronić od przytłaczającego je kapitalizmu. Naturalnie nie wolno nam zatracać przytem naszego wyraźnie proletaryackiego charakteru, lecz bronić te warstwy tylko dlatego, że są nieszczęśliwe i uciemnione«.

Jak widzimy zatem, Kautsky na wszystko znajduje pociechę i robi

jak to mówią francuzi, *bonne mine à mauvais jeu*. Inaczej zapatruje się na dzisiejszą sytuację, na jej prawdopodobne wyniki, na zadania partyi socjalistycznej i taktykę werbunkową Edwarda Bernsteina.

Przytaczamy tu za »*Socialistische Monatshefte*« (Zeszyt marcowy) główne ustępy jego artykułu zatytułowanego: »*Der Wahlkampf und das Mandat*«.

Bernstein, przywołując na pamięć historię socjalizmu w Niemczech, wykazuje wielką różnicę, jaka istnieje między socjalną demokracją z 1887 roku a dzisiejszą. Wtedy socjaliści, nad którymi ciążyły prawa wyjątkowe i w parlamencie nie byli uznani jako równouprawniona partya. Nawet żądaniu ich, żeby przy podziale miejsc w Reichstagu wyznaczyć im skrajną lewicę, nie uczyniono zadość; ulokowano ich w kącie za ławkami wolnomyślnych. Jako partya z wyjątkowem stanowiskiem mogła być wtedy tylko partya protestu. Zmniejszenie się mandatów, dla tego też nie mogło im przynieść wielkiej szkody. Protestować mogli również w liczbie 11, jak w liczbie 24. Od 1890 roku można zaznaczyć silny wzrost socjalnej demokracji w parlamencie. Wtedy zaczyna wywierać coraz większy wpływ na tok spraw państwowych, w tym czasie też zostaje ona zewnętrznie uznana jako równouprawniona partya parlamentarna i otrzymuje miejsce na skrajnej lewicy. Od tej chwili zaczyna ona występować jako partya parlamentarna, albo lepiej jako partya parlamentarnie pracująca; wysyła ona swoich członków do wszystkich komisji prawodawczych i w tych komisjach socjal-demokraci zajmują rozmaite stanowiska. Ani partya, ani frakcja, ani klasowy ruch nie straciły na tem wciągnięciu socjal-demokracji do parlamentaryzmu. To była ewolucya, to był skutek wzrostu liczebnej partyi. Ze wzrostem partyi rosła wymagania od niej, coraz więcej ludzi łączy się ku niej, bo czeka rezultatów czynnych.

»Partye będące przedstawicielami nacjonalistycznych albo podobnych interesów mogą pozostać w negującym proteście, bez wielkiej szkody dla niej, aczkolwiek historia partyi welfów pokazuje, że i w tym wypadku istnieją pewne granice. Partye takie zresztą nie znają wzrostu poza pewną narodowość lub specjalną grupę«.

Dla partyi jednak, która reprezentuje klasę rozwijającą się, protest nie wystarcza. Stąd konieczny jest parlamentaryzm jako akcja. To nie wynik postanowień kongresu, lecz konieczność ewolucyi. Są ludzie, co dowodzą, że partya posiadająca dzisiaj 43 przedstawicieli będzie mogła robić w parlamencie to samo, co dawna mająca 79. Jeżeli chodzi o krytycyzm, interpelacje i t. d. — to zgoda, pod innymi zaś względami jest wielka różnica między $\frac{1}{5}$ a $\frac{1}{9}$ parlamentu. Przedewszystkiem udział i znaczenie w komisjach są o połowę zmniejszone. Z tego naturalnie wielka szkoda jest

dla partii, a na barki każdego członka frakcji socjalistycznej spada w dwójnasób większa i odpowiedzialniejsza robota.

»Strata więc bynajmniej nie jest bez znaczenia. Jest to klęska, która w możliwie prędkim czasie powinna być powetowana. Socjalna demokracja z całą energią pod tym względem działać musi. Nie powinna ona gardzić żadnym wyborcą, którego głos bez obniżenia poziomu partii można zdobyć dla swego kandydata. Strata mandatów jest skutkiem zbyt lekkiego taksowania sympatyków.

I tu Bernstein w przeciwieństwie do Kautsky'ego kładzie wielki nacisk na konieczność werbowania w przeszłości tak zwanych »Mitläuferów«. Wyłącznie pozaparlamentarna robota robotnikowi niewiele pomaga. Jeżeli nie będzie on miał silnej reprezentacji w Reichstagu, reprezentacji, która byстрыm wzrokiem będzie wynajdywała reakcyjne zamiary, kryjące się w pozornie postępowych projektach, jeżeli nie będzie przeciwko tego rodzaju objawom protestowała, robotnicy będą otrzymywali ciosy ze strony swych pseudo-przyjaciół wtedy, kiedy się tego najmniej będą spodziewali.

Z tego jednak nie można wnioskować, że w takiej akcji protestowej, choć pozornie 43 wystarcza, nie ma co ubolewać nad straconymi 38 mandatami. Im więcej ich jest — tem silniejsze jest wrażenie a skutek temu wrażeniu odpowiada.

Do przyczyn utraty sympatyków sięgnął także Paweł Göhre w zeszycie 20 tygodnika »Neue Gesellschaft« w artykule p. t. »Unsere Niederlage«.

Prócz znanych przyczyn zewnętrznych widzi on przyczynę klęski w dużym stopniu w zachowaniu się samej partii. Na pierwsze miejsce stawia on tutaj osobiste zatargi i kłótnie, które się rozpoczęły na dobre na zjeździe drezdeńskim i zdjęły z niej nimb w oczach szerokiej mas ludności. Różnice zdań powiada Göhre, są tylko dowodem silnego, zdrowego i bogatego życia w łonie partii. Dawniej jednak u każdego z członków naszej partii łądziło tę różnicę głębokie zaufanie w uczciwość towarzyszy inaczej myślących, wiara, że w gruncie rzeczy, wszyscy jednakowo głęboko kochają tę samą ideę i czują się z nią związani. Od 1903 roku duch nietolerancji, duch szablonowego patrzenia na rzeczy zapanował w partii. Nie zrozumiała socjalna demokracja, że najwyższem psychologicznem prawem wielkich ruchów masowych jest konieczność różnorodności równoległych zapatrywań i że tylko od tego zależy, żeby nie zniszczyć tej różnorodności, lecz żeby z niej wyciągnąć największą korzyść. Z centrum i katolickiego kościoła powinniśmy sobie byli wziąć pod tym względem przykład«.

Co się tyczy osobistego stosunku do sympatyków, to Göhre uważa za zupełnie niesłuszne pogardzanie nimi w imię interesów klasowych

i żąda od partii energicznego zajęcia się nimi nie tylko w czasie kampanii wyborczej, lecz i w czasach, leżących między temi ostatnimi.

Z drugiej strony żąda on, ażeby partya rozszerzyła swój program w ten sposób, by nie tylko dla robotników lecz i dla wszystkich niekapitalistów zapowiadał w niedalekiej przyszłości możność zdobycia lepszego jutra.

M. S.

ECHA.

W SPRAWIE ROZŁAMU W P. P. S.

Frakcja rewolucyjna w myśl uchwały pierwszej konferencji okręgowców i, dodajmy, w myśl życzenia uświadomionych rzesz robotniczych, zgrupowanych pod sztandarem P. P. S., zwróciła się do frakcji umiarkowanej z propozycją urządzenia wspólnego zjazdu, któryby rzesze te znowu węzłem ściślejszym połączył. Zdawałoby się, że frakcja umiarkowana nie powinna mieć żadnych wątpliwości co do znaczenia takiego zjazdu. Przyjmując propozycję, do niczego jeszcze nie byłaby obowiązana: odpowiedziałyby tylko życzeniu mas robotniczych. Lecz i tym razem umiarkowani nasi nie mogli się wznieść ponad poziom frakcyjnej ambicyjki. Pominęli oni zupełnie znaczenie zjazdu, przesądzieli z góry jego rezultaty, ale jak zwykle, tak i tym razem, nie mieli odwagi przyznać się do swojego zacietrzewienia sekciarskiego. Zamiast więc odpowiedzi rzeczowej, pokazali listek figowy w postaci obrażonej ambicyi. Szczegóły, dotyczące porozumienia, spotykamy w Nr. 210 „Robotnika“ (fr. rew.) Czytamy w nim, co następuje:

„W myśl uchwały I-szej konferencji okręgowców naszych, zwróciliśmy się dnia 23 stycznia do C. K. R. frakcji przeciwnej z propozycją urządzenia wspólnego federacyjnego Zjazdu, któryby położył kres skutkom rozłamu, spowodowanego przez niefortunny IX Zjazd.

List nasz brzmiał:

Do C. K. R. P. P. S.

Szanowni Towarzysze!

Na konferencji okręgowców frakcji naszej dnia 20 stycznia powzięta została następująca uchwała:

I-sza konferencya okręgowców F. R. P. P. S. przychyliła się do propozycji C. K. R., aby ten poczynił kroki dla zwołania wspólnego zjazdu z frakcją umiarkowaną w celu wznowienia dawnej jedności naszej partii — jedności, której potrzeba jest głęboko odczuwana przez ogół mas robotniczych, zorganizowanych w obydwóch frakcyach P. P. S. Zjazd wspólny powinien być zjazdem federacyjnym, aby żadna frakcja nie mogła zmajoryzować innej.

W wykonaniu tej uchwały zwracamy się do Was z propozycją spotkania się w celu omówienia tej kwestyi.

Warszawa, dnia 23 stycznia.

Z socyalistycznym pozdrowieniem

C. K. R. P. P. S. (Fr. Rew.).

Na list ten otrzymaliśmy odpowiedź dopiero dnia 11 lutego. Oto jej brzmienie dosłowne:

Do C. K. R. Fr. R.

Na propozycje pisane w sposób obelżywy, nie dajemy odpowiedzi. Za obelgę uważamy nazywanie nas „frakcją umiarkowaną“.

C. K. R. P. P. S.

Do odpowiedzi tej „Robotnik“ dodaje następujący komentarz:

„W ten oto sposób załatwiona została przez naszych byłych towarzyszy kwestya, dotycząca najbardziej żywotnych interesów proletaryatu całego kraju. Obawiając się dać odpowiedź odmowną, któraby sprzeciwiała się poczuciu i chęciom klasy robotniczej, a z drugiej strony, nie chcąc zgodzić się na zjazd wspólny, gdyż pogrzebałby on cały kierunek zwany „lewicą“, kierownicy frakcji przeciwnej uciekają się do dziecinnego wybiegu, udają obrażonych, nie zwracając nawet na to uwagi, że w nagłówku listu nazwaliśmy ich przez zwykłą grzeczność „C. K. R. P. P. S.“, choć do tego nie mają najmniejszego prawa.

Odpowiedź ta jest obelgą, wyrządzoną całej uświadomionej części proletaryatu naszego. Dając ją, C. K. R. frakcji przeciwnej złożył dowód zupełnej niezdolności do kierowania bądź co bądź dość jeszcze znacznym odłamem proletaryatu, ulegającym jego wpływowi. Wobec tego, składając z siebie odpowiedzialność za dalsze skutki takiej taktyki, oddajemy postępowanie Fr. Um. pod sąd opinii całego proletaryatu, zarówno towarzyszy z frakcji naszej, jak z przeciwnej. Jesteśmy pewni, że przy dalszym rozwoju roboty jedność sama przez się, i to niebawem nastąpi, a śródeczki, używane przez garstkę ludzi, którzy się jej sprzeciwiają, tylko im samym szkodę przynoszą. My ze swej strony pozostajemy na naszym dotychczasowym stanowisku i uważamy Zjazd wspólny za konieczny.

Warszawa, dnia 12 lutego 1907 r.

Centralny Komitet Robotniczy P. P. S. (fr. rew.).

WARUNKI PRENUMERATY:

w Austrii

za granicą:

Kwartalnie kor. 3·50 mk. 3·50 fr. 4·50 dol. 1·—

Nr pojedynczy „ —·60 „ —·60 „ —·80 „ —·20

W Królestwie Polskiem i w Rosyi kwart. 2 rb., numer pojedynczy 35 kop.

Numer pojedynczy na dworcach kolejowych 70 hal.

Składy główne: w Krakowie: **Agencya dzienników Hopcasa i Salomonowej, Sławkowska 2**, we Lwowie: **u Sokołowskiego, pasaż Hausmana.**

Redaktor i wydawca odpowiedzialny: T. Bobrowski.

Z Drukarni Narodowej w Krakowie.

„KRYTYKA” miesięcznik, poświęcony sprawom społecznym, nauce i sztuce, wychodzi rok VIII w Krakowie.

Redaktor i wydawca: Wilhelm Feldman.

„KRYTYKA”, stojąc na stanowisku narodowym, pielęgnuje ideały ogólnoludzkie. Urzeczywistnienie ich widzi w wyzwoleniu narodu, klasy pracującej i jednostki przez radykalne przeobrażenia społeczne i polityczne, tudzież przez opieranie życia jednostkowego i zbiorowego na głębokiej podstawie kultury etycznej i estetycznej — zaznajamia więc ogół z najnowszymi prądami na tych polach i z szczególniejszą uwagą śledzi ruch nowej tak zwanej modernistycznej literatury i sztuki polskiej.

W roku 1906 drukowała „Krytyka” między innymi: nowelę W. Sieroszewskiego („Przepowiednia Wernyhory”), Stefana Żeromskiego („Zemsta jest moją”), B. Górczyńskiego, K. Zdziechowskiego, A. Struga; dramaty: Stan. Przybyszewskiego („Sluby”), Micińskiego („Książę Patiomkin”); poezye: Jedlicza, Staffa, Kasprowicza, Leszczyńskiego, Orkana, Ostrowskiej. Z rozpraw politycznych i kulturalnych: prof. I. Radlińskiego: „Wolna myśl”, I. Moszczeńskiej: „Podwójna moralność”, prof. I. Baudouina de Courtenaya: „Ze zjazdu autonomistów, czyli przedstawicieli narodowości nierosyjskich w Petersburgu”, „Tępość moralna społeczeństwa rosyjskiego”; Wasilewskiego: „Z dziejów ruchu rewolucyjnego polskiego a rosyjskiego”; dra Wł. Gumpłowicza: „Socjalizm a kwestya polska”, R. Minkiewicza: „O pełni życia i o komunie duchowej”, szereg artykułów aktualnych: W. Feldmana. Z literatury: Ortwina: „Konstrukcja dramatu Wyspiańskiego”; dra W. Moraczewskiego: „Współczesna literatura francuska”. A. Śliwińskiego: „Społeczne poglądy Mickiewicza”, J. Stena: „Poezja rewolucyjna”, Słaza: „Rewolucja a sztuka”; W. Feldmana: „O Orzeszkowej”, T. Dąbrowskiego: „O Samuelu Zborowskim Słowackiego”, Nowaczyńskiego: „O dramacie historycznym”, Śliwińskiego: O najnowszych powieściach i nowelach” i t. p. Nadto drukowała się międzynarodowa ankieta w sprawie polskiej, w której głos zabierali znakomici uczeni i politycy Niemiec i Francji, Rosyi, Włoch, Rusi, Anglii. Dział „Przegląd prasy” i „Sprawozdanie naukowe i literackie” zaznajamiał z najważniejszymi zjawiskami w prasie polskiej i obcej, tudzież z ważniejszymi nowościami księgarskimi.

Prenumerata wynosi w Austryi: rocznie 12 kor. Dla Królestwa i Cesarstwa: rocznie rb. 7'60, półrocznie rb. 3'80, kwartalnie rb. 1'90.

Adres wydawnictwa: Kraków, ul. Stachowskiego 14.

„LUDZKOŚĆ”

Organ postępowy i demokratyczny, poświęcony polityce, sprawom społecznym, ekonomicznym, oraz literaturze i sztuce.

Wychodzi 2 razy dziennie.

Doborem artykułów, wszechstronnością informacji, całym zgoła gatunkiem treści „Ludzkość” stanęła na poziomie najwybredniejszych wymagań nowoczesnych.

„Ludzkość” ma objętość numerów tak obszerną, iż obfitością treści przewyższa wszystkie pisma, dotychczas wychodzące w Warszawie.

„Ludzkość” zawiera codziennie samodzielny dodatek p. n. „Kronika Handlowa”, zastępujący dawną „Gazetę Handlową”. Jest to wyczerpująca kronika wszystkich informacji ekonomicznych oraz zbiorów ostatnich ceduł giełdowych i targowych.

Do numerów niedzielnych „Ludzkości” dołączane są dwa dodatki: jednej niedzieli literacko-artystyczny p. n.

„LITERATURA I SZTUKA”,

drugiej niedzieli popularno-naukowy p. n.

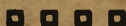
„NAUKA I ŻYCIE”.

Odcinek „Ludzkości” zawiera powieść **STEFANA ŻEROMSKIEGO** p. n. „**DZIEJE GRZECHU**”.

Prenumerata wynosi: miejscowa rocznie rb. 9, półrocznie rb. 4'50, kwartalnie rb. 2'25, miesięcznie kop. 75, a nadto 10 kop. miesięcznie za odnośnienie; na prowincyi rocznie rb. 11, półrocznie rb. 5'50, kwartalnie rb. 2'75, miesięcznie rb. 1; za granicą rocznie rb. 16, półrocznie rb. 8, kwartalnie rb. 4, miesięcznie rb. 1'45.

„ŻYCIE”

Wydawnictwo dzieł społeczno-politycznych.



Dotychczas wyszły:

- T. I: K. Krauz. (Michał Luśnia). »Wybór pism politycznych«. 3 K.
T. II: A. Judym. »W kwestyi haseł programowych i taktyki«. 50 h.
T. III: Res. »Koordynacya czy utożsamienie?«. 50 h.
T. IV: A. Wroński. »Zadania ruchu rewolucyjnego w zaborze rosyjskim w chwili obecnej«. 50 h.
T. V: Dr. Helena Landau. »Polityka Związków Zawodowych«. 1 K.
T. VI: Res. »Kwestya polska w oświeceniu »Socyal-demokracji polskiej«. 1 K.
T. VII: I. Daszyński. »Polityka proletaryatu«. 2 K.
T. VIII: A. Humnicki. »Wspomnienia z lat 1888-1892«. 40 h.
T. IX: St. Os...arz. »Narodowa Demokracya a ruch rewolucyjny w zaborze rosyjskim«. 80 h.
T. X: L. Janowicz. »Zarys rozwoju przemysłu w Król. Polskiem«. 80 h.
T. XI: »Materiały do historyi P. P. S. i ruchu rewolucyjnego w zaborze rosyjskim«. 6 kor.

Dalsze tomy pod prasą.

Biblioteczka popularna „Życia”.

- Książeczka I.: Tytus Filipowicz. »Czy robotnikowi potrzebną jest Konstytuanta w Warszawie?« 30 h.